

373

373  
Książki dla wszystkich.

№ 452



Cena 25 kop.

M. Durham

# Czarnogórze i Albania

SZKICE Z PODRÓŻY

z angielskiego tłumaczyła

M. Swiderska

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

w Gałicji 65 hal.

<http://rcin.org.pl>

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH.

# CZARNOGÓRZE ; ALBANJA

SZKICE Z PODRÓŻY

z angielskiego oryginału

M. Durham

Źłomaczyła Marja Świdęrska

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55  
tel. 22 69-78-773



Wa5149951

WARSZAWA  
NAKŁADEM i DRUKIEM M. ARCTA

<http://rcin.org.pl>



373

<http://rcin.org.pl>

NH-41968 K5

## I. Cattaro. — Njeguszi. — Cetynje.

Nie wiem gdzie się właściwie „Wschód” zaczyna, ale zdaje mi się, że to będzie gdzieś na wybrzeżach Adrjatyku, na tym wybrzeżu, gęsto osypanym wyspami, a które niegdyś do Wenecjan należało. W każdym razie, zaledwie opuścimy Tryjest, już się natkniemy na fermentujący ciągle zakwas kwestji Wschodniej i zauważymy niepopularność rządzącego żywiołu niemieckiego.

„Ja nie mówię po niemiecku“ zapewniał nas młody oficer na statku, a gdyśmy się zbliżali do „Bocche di Cattaro”, powtarzał, że wraca do ojczyzny swej, Sławonji.

Polityka nie milknie nawet na parowcu. I tak: pewnego ranka obudziwszy się, zastajemy całą salę II klasy

zamienioną w obóz hercegowiński, gdzie na jaskrawych kobiercach i makatach usadowiło się parę rodzin, w pełnym stroju narodowym, nogi skrzyżowawszy i wypuszczając kłęby gęstego, aromatycznego dymu. Uprzejmy nasz szafarz, włoch dalmatyński szepnął mi do ucha:

— To są panowie z Hercegowiny, signorino. Czy pani lubi Hercegowinców?

Zagadnięta niespodzianie, nie wiedziałam co odpowiedzieć i zauważyłam tylko, że towarzystwo to ma stroje nader malownicze. Błahość tej uwagi uraziła widocznie szafarza, który rzekł poważnie:

— Signorino, to są najwaleczniejsi ludzie na świecie: każdy z tych, których tu pani widzi, gotów walczyć do ostatniej kropli krwi.

I dodał zniżonym głosem:

— Oni nie mogą żyć bez swobody... opuszczają własny kraj. Tam panują Austryjacy — pani wie. Oni jadą do Czarnogóry, do kraju wolnego. Zabrali z sobą, co mają, i jadą tam, gdzie wolność...

Spojrzałam na nich ze współczuciem. Tak, ci ludzie, choć sami o tym nie wiedzą, są przeżytkami dawnego, już niknącego świata; oni uciekają nietylko przed Niemcem, ale raczej przed nową, nienawistną im cywilizacją dwudziestego wieku. W tych różnobarwnych torbach i węzełkach z chust bawełnianych mieści się dobytek trzech gieneracji, które porzuciły ziemię ojców swoich i wyszły w pielgrzymkę mistyczną, jak owi rycerze średniowieczni w poszukiwaniu Grobu. I ci szukają Świętej Wolności gdzieś daleko. Oby ją znaleźli „na wyżynach”, gdzie podobno Wolność się gnieździ. Nie spotkałam ich już potym.

Na innym parowcu, czysto austryackim, co innego słychać:

— Jam Wiedeńczyk, Fräulein; można sobie wyobrazić, co to za utrapienie dla mnie jechać do tego barbarzyńskiego kraju. Ludzie tamtejsi to grubzanie, malkontenci, ignoranci—zły naród. Nie radzę pani jechać do Czarnogóry — to lud niebezpieczny!

— A jakże w Bośni i Hercegowinie?

— Tam co innego. Tam my rządzi-

my, więc bezpieczeństwo wszelkie. Naród zły, co prawda, ale od czegoż nasze porządki?

I tak każde stronnictwo usiłuje objaśnić cudzoziemca, żeby nie nabył jakich uprzedzeń.

Zapewne należałoby wysłuchać jednej i drugiej strony, ale cóż robić, gdy tu jest tych „stron” bez liku: jest stronnictwo katolickie i stronnictwo prawosławne, a także mahometańskie, i niemieckie, i słowiańskie, i jeszcze włoskie, tureckie, albańskie i inne. A kiedy się pogada ze wszystkimi, to jeszcze trudniej wyrobić sobie zdanie o kwestji Wschodniej, niż było przedtym.

Dalmacja ma wiele uroku, ale roi się w niej od turystów i niejeden malowniczy zakątek pada ofiarą udogodnień i urządzeń potrzebnych dla tych gości z „Europy”. Mijamy ją więc, nie zatrzymując się, przewijamy się przez to mnóstwo fjordów zwanych „Bocche” i wysiadamy na pobrzeżu Cattaro.

Ładne to miasto było w ubiegłych wiekach przedmiotem zażartych walk. Jest to właściwie jakby przeznaczony



z natury port dla Czarnogórza, ale należy do Austrii i pnie się z trudem po wązkim pasie wybrzeża ponad wodami ku stromym wałom Czarnogórza, wznoszącym się od wschodu. Potężna twierdza wyrasta groźna przy jedynej drodze, wiodącej w górę, bo Cattaro to jakby przedsiemek Czarnogórza, i armja austryjacka bacznie strzeże tego przedmurza obcego państwa.

Za miastem pnie się krętą steczką słynna drabina Cattarońska, przez którą do r. 1879 jedynie mieć można było przystęp do Czarnogórza, a którą dotąd posługują się wieśniacy.

Długi czas opierali się Czarnogórcy przeprowadzeniu porządnej drogi, twierdząc, nie bez słuszności, że, kędy przejedzie wóz, przejdzie także i armata. Dla nich najgroźniejszą się wydawała armata, a jednak po bitych drogach wiska się coś bardziej nieuchwytnego, choć o wiele niebezpieczniejszego od artylerji wroga: to świat nowy, prądy wieku dwudziestego, które też zwolna, nieprzeparate sączą się i zalewają starą ziemię w pół dzikich górali.

Czy ten dzielny ród, co przez lat pięćset stawiał opór krwawej mocy tureckiej, zdoła powstrzymać bezkrwawe fale tak zwanej cywilizacji Zachodu, czas to dopiero pokaże.

Droga z Cattaro do Cetynji tyle razy była opisywaną, że niewarto opisów tych powtarzać, a zresztą trudno słowem ją odmalować. Po trzygodzinnym może wspinaniu się w górę, mijamy ostatni czarno-żółty posterunek austrijacki i woźnica (jeśli jest góralem) wskazuje na ziemię i woła „Crangora!”

Czarnogóra, to ogromny, szary, straszliwy wał z olbrzymich głazów napiętrzonych a groźnych, jak kościotrup zmarłego świata. Pierwsze na ten kraj spojrzenie przejmuje grozą i dreszczem wstrząsa. Ten szereg nagich turni, dzika pustka strasznych, poszarpanych skał snuje wspomnienie walk i bólów wiekowych. A jakże nie ukorzyć się przed ludem, który wolał żyć i ginąć swobodny w tych dzikich urwiskach, niż spocząć w niewoli na tłustych ziemiach w nizinie?

Gdzie się tylko da, małe płaty grun-

tu obramiono kamieniami, aby ich woda nie zmyła i uprawiono starannie, a na zboczach gór tęgie dębczaki, choć skarłowaciałe i poskręcane od wichru, czepiają się i wciskają korzeniami między głązy.

Mężczyźni po większej części uzbrojeni są w rewolwery i inną broń, a oko tak do tego przywyka, że później w krajach spokojniejszych widząc ludzi bezbronych, mimowoli się wydaje, że im brak czegoś w stroju. Droga się zakręca, dostrzegamy czerwone dachy Nieguszy i niebawem stajemy na popas w mieście Czarnogórskim.

Na wstępie do małej gospody, woźnica nasz dopomina się o swój rewolwer, który wraz z kilku innymi wisi na ścianie, albowiem przed przejściem granicy austryjckiej należy broń złożyć, i odzyskuje się ją dopiero za powrotem.

Jerzy Stanisicz, gruby gospodarz austerji, napędza kobiety do przyrządzania wieczerzy, a sam podając napitki, rozsprawia o najnowszych wypadkach, zwłaszcza o wojnie, jeżeli się toczy gdziekolwiek. „Junactwo” (partyzantka gó-

ralska) to także przedmiot zajmujący Czarnogórcę, i nic dziwnego, bo każdy z nich za przykładem dziadów swoich pragnie być uważanym jako „dobar junak” (dzielny wojak).

Nieguszy sprawia silne wrażenie na umyśle gościa, bo to wstęp do świata nowego a dziwaczego. Mała, kamiennymi wybrukowana izdebka w gospodzie, z portretami księcia panującego, oraz cesarza i cesarzowej rosyjskiej, rząd nabitych pistoletów za ladą, ślepy dziad, który przykucnąwszy u drzwi śpiewa jakąś długą, jednostajną pieśń, przygrywając sobie na jednostrunnej guzli, wysokie, poważne postacie mężczyzn w malowniczym narodowym stroju,—wszystko to jest dla nas nowe, nieznanne i zupełnie różne od świata, któryśmy za sobą zostawili. Wydało mi się, że bardzo, bardzo daleko odjechałam od mojej ojczyzny. A jednak wśród tych Czarnogórców szczerych, honorowych i przejętych miłością ojczyzny i swobody, czułam się mniej obcą niż w jakimkolwiek innym kraju.

Nieguszy jest miejscem rodzinnym

panującego księcia Mikoły. Przodkowie jego wraz z wielu innemi opuścili Hercegowinę w XV wieku, nie mogąc znieść przemocy tureckiej i przybywając ze wsi Nieguszy w obce strony, nadali tę samą nazwę swej nowej osadzie. Przy tej zrzeczności przytoczę tu opowieść słyszaną niejednokrotnie od Serbów, którzy mocno w nią wierzą; ja zaś nie miałam sposobności sprawdzenia jej.

Otóż gdy Hercegowińcy emigrowali do Czarnogórza, jeden oddział ruszył dalej w świat i zaszedł aż w góry Abisyńskie; między innemi gałąź rodu Petrowiczów z Nieguszy, od której pochodzi w prostej linii Menelik. Na tę pamiątkę nosi on tytuł Negusa i jest dalekim krewnym księcia Mikołaja Czarnogórskiego; Abisyńczycy zaś zawdzięczają tej domieszce krwi słowiańskiej swą piękną postawę i wyższy stopień cywilizacji, w porównaniu z innemi plemionami afrykańskimi.

Dom książęcy stoi po lewej stronie drogi prowadzącej za miasto. Teraz mamy do przebycia stromą pochyłość w górę, bardzo urwistą drogę między

szaremi skałami i na szczycie przełęczy (3350 stóp n. p. m.) zakręt.

— Cetynje! mówi krótko woźnica.

A u stóp naszych, daleko, w nizinie okolonej górami, czerwienią się dachy miasteczka, nie, raczej wioski, jakby zabawki z ogródka froeblovskiego. To jeden z najzabawniejszych widoków w Europie, miasto nie podobne do żadnego wielkiego miasta gdziekolwiekbądź, a jednak stolica. Składa się ona — rzecz można — z dwóch szerokich ulic, biegnących równolegle, a połączonych kilkunastu przecznicami; mieści około 3000 mieszkańców.

Odrazu na wstępie do miasta wznosi się duży, nowiuteńki budynek z białego kamienia, pod czarnym dachem — to poselstwo Austro-węgierskie. Gdzieindziej nie zwróciłby uwagi ani ogromem ani pięknnością, ale tu wydaje się wspaniałym.

Niechcąc ustąpić kroku komu innemu, Rosja wzniosła równie wspaniałą budowlę na przeciwnym końcu miasta, które tym sposobem znalazło się między młotem a kowadłem.

Przed dwudziestu laty Cetynje było zbiorowiskiem chat strzechą krytych. Dziś domki skromne, ale trwale zbudowane pod dachówką. Są one po większej części parterowe; niektóre piętrowe, ale wszystkie zarówno gardzą ozdobami architektonicznymi, tak, że ani gzyms żaden, ani ganek, rzeźba lub balkonik nie urozmaica jednostajności, i domki wyglądają, jak zabawki wyjęte z jednego pudełka.

Droga jest bardzo szeroka, bardzo biała, obsadzona po obu stronach drzewkami o tak skąpym olistnieniu, że nie więcej dają cienia jak słupy telegraficzne, i także wyglądają niby wyjęte z tego samego pudełka. Wszystko to czyściutkie, umiecione: żaden ogryzek nie wala się w rynsztoku, żadna przykra woń nie razi powonienie. To nietylko zabawka, ale zabawka nowiuteńka, której jeszcze nikt w rękę nie miał.

Cetynje jest ubogie, ale pełne godności. Francuska albo włoska wieś tej wielkości hałasuje, wrzeszczy, tupocze. Tu nic podobnego: żadnego gwaru, żad-

nego pośpiechu. Z budynków, mało który zwraca uwagę.

Ze względów historycznych wspomnieć warto klasztor, małą wieżyczkę na wzgórku powyżej, gdzie zatykano głowy pozabijanych Turków, oraz stary pałac zwany „Biljardo”, w nim bowiem mieścił się pierwszy bilard, jaki sprowadziła sobie Czarnogóra; obecnie znajdują się tam kwatery rozmaitych urzędników i główny trybunał.

Czarnogórze nie posiada wcale adwokatów, co znacznie upraszcza procedurę. Najwyższą apelację stanowi książe, który też osobiście czyta każdą prośbę i rozstrzyga sprawy swoich poddanych. A lud tyle ma doń zaufania, że nieraz się zdawało, iż mahometańscy poddani sułtana dreptali do Crnagory, aby tylko poddać swą sprawę pod sąd „Gospodara”. Musi on posiadać dar i spryt potrzebny do rządzenia tym półdzikim jeszcze narodem, co się uwidocznia w porządku panującym w jego dzielnicach mimo znacznej liczby albańskich mahometan. Kto wie, czy nie lepiej byłoby dla Bałkańskich ludów, gdyby



książę ten istotnie posiadał większy zakres władzy.

Cetynje ma ładny park, teatr i targ, na którym można się wprawiać w narzeczach miejscowym.

Ach! ten język czarnogórski! ileż mi on sprawił kłopotów. Goniłam za nim po całym Londynie, ale cóż, kiedy szkoły uczące wszelkich języków, gwar i narzeczy europejskich, afrykańskich i azjatyckich, nic o nim nie wiedziały! Zaga-bnęłam Rumuna, Węgra, Albańczyka, — wszystko napróżno. Udałam się do pewnego Bałkańskiego konsulatu, który, niestety, składał się z samych Anglików; ci skierowali mię do pewnego ministerjum, pełnego, jak mówili, grzecznych ludzi. Rzeczywiście w ministerjum zainteresowano się mną i odesłano mię do jednego ex-ministra przybyłego na pogrzeb królowej Wiktorji. Niestety, ex-minister właśnie miał wracać do swej ojczyzny, więc mi zaproponował pewnego grzecznego oficera, służącego przy poselstwie, a który co tygodnia zjawia się u mnie na godzinkę rozmowy i to bezinteresownie, ma się rozumieć.

— A jeżeli to nie będzie dogadzało panu kapitanowi?— odezwałam się nieśmiało: — Może to niezbyt delikatnie z mej strony?

— Ach pani!—odparł konsul: — Jak tylko on się dowie, że to z rozkazu p. X., nie będzie śmiał odmówić.

Łatwo się domyśleć, że po tym zachęcającym upewnieniu dałam pokój wszelkim protektorom i poprzestałam na małej gramatyce języka czarnogórskiego, zastanawiając się jednak czasami, czy wszystkie państwa Bałkańskie byłyby równie skore do wypożyczenia swoich ministrów i urzędników poselskich na korepetytorów dla cudzoziemców.

Niezmierną naiwnością odznaczają się wieśniacy czarnogórscy. Cieszą się tak cudzoziemcem, który z nimi zagaja rozmowę, jak dzieciak kotem, chwytającym kłębuszek i, tak jak dzieci, bez żadnego skrupułu zadają pytania, któreby gdzieindziej uchodziły za wielką niedelikatność. Zwykle gawędy rozpoczynają kobiety i powtarzają nabyte wiadomości swym panom i mężom stojącym zrazu na uboczu; wkrótce jednak

zapominają o wielkiej swej powadze i cisną się wokoło mnie zaciekawieni. Wogóle nie mają najmniejszego pojęcia, skąd ja przybywam i co zacz jestem, a dowiedziawszy się, żem jechała koleją i parowcem, wyrażają niesłychane zdumienie. Naturalnie, musiałam przybyć z krainy pełnej złota i skarbów wszelkich...

— I z tak daleka przyjechaliście, żeby nas widzieć? Brawo!

Tu się zaczyna klepanie po plecach, a nawet jakaś przyjacielska niewiasta porywa mię w objęcia, poczym oznajmia mężom, że ta pani jest bardzo chuda i twarda.

— Czy pani zameżna?

— Nie.

Wielkie zdziwienie — szepty.

— Czekaście, — mówi jakaś starsza kobieta i zaczyna wołać:

— Miłosz! Miłosz!

Na to przeciska się przez tłum wysoki, smagły chłopak może lat ośmnaśtu. Matka wspina się na palce i szepce mu coś do ucha, żywo giestykulując, a Miłosz uśmiecha się szeroko.

— Spytaj się jej, spytaj! — wołają kobiety.

— Spytaj się jej — powtarzają mężczyźni.

Miłosz prostuje się, waha się nieco i wreszcie postąpiwszy krok ku mnie—wypowiada:

— Czy pani chce mnie za męża?

— Nie, dziękuję — odpowiadam ze śmiechem; a Miłosz cofa się śród śmiechu kolegów, ale widocznie dość zadowolony z takiego obrotu sprawy.

— Bo ten Miłosz nie dosyć przystojny — mówią: Gawro byłby lepszy.

I po chwili staje Gawro na miejscu Miłosza, z tymże rezultatem. Całe towarzystwo rozochoczone stara się wynaleźć najładniejszego konkurenta, a ja rzucając okiem wkoło, zatrzymuję je na młodzieńcu bardzo przystojnym.

— Nie, nie! on mój! — wykrzykuje jedna z kobiet i odciąga za ramię szczęśliwego wybrańca.

Tymczasem występuje znów inny:

— Ja nie mam pieniędzy, ale może pani będzie miała za nas dwoje?—mówi otwarcie.

— A jaki on poczciwy i piękny! — dodają przyjaciele.

Nadzwyczaj mię bawi ta prostoduszna otwartość i brak wszelkiej ceremonji przy swataniu mię, bo nikt nie wspomina o moich wdziękach i nie udaje, żeby szło o co innego, jak o posag, który przypuszczalnie posiadam. Ciekawabym była, coby zrobili, gdybym na razie przyjęła którą z propozycji. Ale próbować nie śmiałam. Dość mi było pięciu oświadczyn na dwadzieścia minut.

Ale to są wszystko przyjemności wiejskie; w Cetynji jużby to nie uchodziło, a dla poznania Czarnogóry musimy ruszać dalej.

## II. Rijeka. — Fodgoryca. — Cygańskie wesele.

Wędrowanie po Czarnogórze — w pogodę ma się rozumieć — jest szeregiem przyjemności od początku do końca. Muszę także oddać sprawiedliwość memu albańskiemu woźnicy, którego poczciwości, wierności i wesołemu usposobie-

niu zawdzięczam w znacznej części powodzenie mej podróży. Nizki i smagły, pochodzi on z nad granicy, gdzie wśród mieszanej ludności trudno o typ wyraźny. Staranny około swoich trzech koników i praktyczny w każdej przygodzie, jest on zarazem wesół i naiwny, jak dziecko. Czasami zdobywa się, coprawda, na wielką powagę i ruchy pełne godności, ale to nie na długo. Przed bramą gospody, naprzykład, wobec ludzi obcych, jest zupełnie majestatyczny, ale niebawem w kuchni, gdzieśmy się rozgościli, wyskakuje i macha rękami w jakimś wojennym tańcu, podżartowuje z damami, dowcipkuje i jest w różowym humorze.

Gusty ma proste i łatwe do zaspokojenia. Parę razy wyprawiałam mu traktament z tego, co sobie sam wybrał, i nie wydałam więcej jak dwadzieścia do trzydziestu centów. Kiedyś kazał sobie upiec ogromną wątrobę w gorącym popiele i skonsumował ją z całym bochenkiem chleba, co mu poszło na zdrowie, jak mówił.

Wspaniałomyślność jego nigdy mię

nie zawiodła. I tak, naprzykład: w czasie burzy z ulewą, która nas napadła gdzieś na szczytach, oddał mi swoją ciepłą burkę.

Pewnego wieczora, gdy ciemności szybko zapadały, a deszcz lał strumieniami, usłyszeliśmy, gdzieś między Rijeką a Cetynją, żałosne nawoływanie. Okazało się, że jakiemuś biedakowi upadła przy drodze jedyna owca, jaką posiadał i podnieść się nie mogła. Trzeba było widzieć mego poczciwego Szana, jak się tym strapił. Wytłumaczył mi, że ten człowiek jest bardzo ubogi, owca bardzo zmęczona i zresztą mała zupełnie; poczym wziął ją na ręce i utuliwszy obok siebie na koźle, jechał dalej. I tak w najciemniejszą noc, jaka mi się zdarzyła w podróży, wśród wichru i deszczu trzymał parasol, powoził trzema końmi, tulił owieczkę i w dodatku śpiewał pieśni rozmaite, dopóki nie przybyliśmy szczęśliwie do celu.

Stosownie do przepisu „kochaj bliźniego, jak siebie samego”, poczciwy mój woźnica, gdy ma pełny kapciuch, rozda-

je wspaniałomyślnie tytuń na lewo i na prawo; a zato, gdy mu samemu zabraknie, wyprasza bez ceremonji u każdego, kogo spotka. Gdym go zobaczyła po raz pierwszy, powierzchowność jego zasta-nowiła mię, a posłyszawszy, że jest z Albanji, zapytałam czy to prawda. Biedak przeżegnał się natychmiast i odpowiedział:

— Albańczyk jestem, to prawda, ale i katolik; a do Czarnogóry przyszedłem, kiedy był bardzo jeszcze mały — dodał dla zachęty.

Zresztą uważa i mnie za katoliczkę, ponieważ wie, że nie jestem ani prawosławną, ani muzułmanką. Katolicyzm jego jest o tyle oryginalny, że podczas gdy inni jego współwyznawcy w Albanji okazują pewien wstręt kościołowi wschodniemu, on, przeciwnie, z największą uprzejmością zwraca się do popów prawosławnych, rozpoczyna z nimi gawędy, a kiedyś na Wielkanoc chciał koniecznie według ich zwyczaju ucałować wielebnego batuszkę; próżno się wykręcał wielebny, któremu już wystarczały



uściski własnych jego parafjan, dostał głośnego całusa w kark.

Nie wiem, jakie były opinie dogmatyczne mojego poczciwca, ale to pewna, że w sercu swym wyznawał trzy cnoty: wiarę, nadzieję i największą z nich — „miłość”.

A jednak przytym jest on trochę hulaka: gdy się zatrzymamy w większym mieście, wdaje się w rozmowę ze wszystkimi, potem kwieciście do mnie przemawia, upewniając, że jest moim najniższym sługą i że gotów wypełnić każdy mój rozkaz. Gdy się dowie, że go nie będę potrzebowała aż do jutra, rozpromienia się jego opalone oblicze, ale nie wychodzi i od niechcienia wtrąca małe uwagi, których ja nie rozbieram; wtedy zachodzi niby przypadkowo za moje krzesło i mruczy sam do siebie, że w wielkich miastach wszystko kosztuje i że bardzoby mu dogodziło, gdyby mógł dostać naprzód parę złotych ze swej zapłaty. Dostawszy pożądaną zasilkę, wyrusza na miasto i wkrótce spotykam go otoczonego gromadką przyjaciół, którym funduje z miną wielkopań-

ską, a których mi przedstawia z całą ceremonją. Zresztą hulanki te są dość niewinne, a pijatyka nie przeszkodziła mu nigdy do pełnienia obowiązków. Tak się zawsze okazywał akuratnym i uczciwym, że zaufałam mu w każdej okoliczności, chociaż pochodzi z rasy osławionej w całej Europie.

Wyjeżdżając z Cetynji jedyną drogą, jaka istnieje, dosiegamy wkrótce wierzchołka góry i nagle skręciwszy, widzimy przed sobą nieznany kraj. To niby granica Europy i chrześcijaństwa; stoimy u szczytu skalistej warowni tuż naprzeciwko nieprzyjaciela. Biała droga wije się po górskiej pochyłości, w zielonej dolinie poniżej tuli się ładna wioska — Dobrsko Selo; ze wszech stron sterczą dzikie skały i urwiska, a wdali srebrzy się wielkie jezioro Skodra (Skutari). Pa za nim błękitnieją góry Albańskie o szczytach śnieżystych nawet w czerwcu i giną w dali wraz z Turcją, do której już należą.

Wspaniały krajobraz, dla którego warto aż z Anglii tu przyjechać!

Odprzegamy trzeciego konia i spuszc

czamy się ostrożnie ku Rijece drogą zygakowatą, którą w dół się jedzie dwie godziny, a w górę trzy, Cetynje bowiem leży 1900 stóp nad p. m. a Rijeka tylko 200. Rijeka znaczy rzeka, a miasteczko tak nazwane jest gromadką malowniczych, nawpół drewnianych domków i drzew zielonych, rozrzuconych nad wartkim potokiem, na tle gór wysokich. Ładny zakątek.

Właściwie rzeka ta zowie się Rijeka Crnojewiczewa; na codzień mówi się krócej, ale nazwy zapominać nie trzeba, bo jest nadaną na cześć Iwana bega Crnojewicza, panującego w drugiej połowie wieku piętnastego, kiedy się zaczęły najgorsze koleje losu Czarnogóry. Nie mogąc w dolinie dotrzymać placu liczniejszym zastępom tureckim, Iwan zebrał swoich mołojców, spalił dawną swą stolicę, Zobljak, niedaleko jeziora, uszedł w góry, gdzie zbudował Cetynje w 1484 roku. Wzniósł on także twierdzę nad Rijką dla obrony nowych granic państwa i zaprzysiął bronić Czarnogórę przeciw wszelkiemu nieprzyjacielowi.

Ale zarazem dbał o to, by lud swój chronić od barbarzyństwa i ciemnoty; założył więc monaster w Cetynji, nazna-  
czył biskupa i pobudował kościoły, a na-  
wet sprowadził prasy z Wenecji i zało-  
żył drukarnię w Rijece, tak, że mimo  
różnych walk i niebezpieczeństw trapią-  
cych Czarnogórze, pierwsza drukowana  
tam książka ukazała się już w dwadzie-  
ścia lat po pierwszej książce w Anglii  
drukowanej (u Caxtona w Westmin-  
ster). To też mądry ten i dzielny  
Iwan nie zginął, ale śpi gdzieś w górach  
ponad Rijeką, a kiedy się zbudzi, to po-  
prowadzi lud swój do zwycięstwa. Pra-  
sę drukarską spalili Turcy, a książki  
tam wytłoczone nader pięknie i staran-  
nie, są wielką rzadkością.

Rzeka Rijeka, jest bardzo krótka: wy-  
tryska w jaskiniach dziwacznych i spły-  
wa do jeziora Skodra. Miasto zaś skła-  
da się z koszlawych domków w stylu na-  
pół tureckim, z zielonemi drewnianemi  
odkrytemi galerjami. Wyglądają do-  
mostwa te jakgdyby miały runąć za  
chwilę, zwłaszcza gdy są wypełnione ludźmi  
tęgiej a ciężkiej budowy ciała, jak się

tam często zdarza. Wydają się też bardzo stare, ale bacząc na to, że Turcy spalili większą część miasta w 1862, uznać trzeba, że pozory mylą.

Cały szereg sklepów, jak na Lungarno lub Bondstreet londyńskim, ciągnie się nad rzeką; można tu nabyć tanio wszystko, co potrzebne do życia w Czarnogórze. W piekarni duże, płaskie bochny chleba, podobne do tych, które odgrzebano w Pompei, przykryte są białym obrusem dla ochrony od much.

Mnóstwo tytoniu rośnie w okolicy, a jesienią widzi się chaty obwieszane draperjami z liści wysychających na słońcu. Później Albańczycy, siedząc na progach domostw swoich, szatkują to wonne ziele ostrym nożem w cieniuchne jak włos strzępki, szybko i zręcznie, niby maszyna usypując duże kupki tytoniu.

Przysmak ten jest tani, a podobno i dobry w Czarnogórze; prawie każdy mężczyzna pali tam od rana do nocy skręcając jedną cygaretkę po drugiej.

Miasteczko posiada burmistrza, urząd pocztowy, biura parowców, pałac i gospodę, w której można dostać dobry obiad

w dzień jarmarku. Jest ono schludne, dostatnie i przyjacielskie, a mieszkańcy tacy prostoduszni! Przekonałam się o tym pewnego popołudnia, kiedym siedziała na murze nad rzeką, rysując sklep piekarza, a gromadka, z jakich dwudziestu Czarnogórców zasiadła obok, tworząc karmazynowo-szafirowe półkole. Było to za czasów, kiedy jeszcze nie znałam ich języka, a wojna z Boerami nie była ukończona. Ja rysowałam, mój towarzysz mówił, a jakiś chłopak w ubraniu zachodnio europejskim służył za tłumacza.

Dowiedziawszy się skąd przybywamy, objawił wzamian, że sam pochodzi z Węgiei, a wybiera się do Transwaalu.

— Ten człowiek — dodał wskazując rosłego Czarnogórca, idzie ze mną.

I zaczął rozwijać przed nami warjackski plan swój łamaną niemczyzną, jękając się i płacząc, ale z wielkim ożywieniem. Obaj byli odważni i niezmiernie bogaci.

— Ja mam dwa tysiące złotych i mogę wydać parę setek, jak... powtarzał ni by zwrotkę w piosence. Rodziny ich

plakały i prosiły, ale napróżno: bądź co bądź—pójdą do Transwaalu.

— Ależ tam przecież zejść nie można. Obraził się.

— Ma się rozumieć, że nie całą drogę pieszo.

Zamierzali pójść przez Albanję do Saloniki, ale konsul w Skodrze zatrzymał ich; teraz więc chcą płynąć z Cattaro do Aleksandrji, stamtąd do Lorenzo Marques także wodą, a później pieszo do Transwaalu.

— Czemuż odrazu nie ruszacie pieszo z Aleksandrji? — pytamy.

On tłumaczy, że myśleli o tym, ale dowiedzieli się, że w Afryce środkowej są plemiona Arabów, gorsze jeszcze od Albańczyków, bezpieczniej więc będzie wsiąść na okręt, chociaż oni, ma się rozumieć, nie boją się nikogo. Przybywszy na miejsce, chcą wstąpić do tego wojska, które się wyda bliższym zwycięstwa, a potem zabiorą się do zbierania złota.

Staraliśmy się wyperswadować im tę szaloną wyprawę, ale argumenty nasze przyjęto z szyderstwem.

— Jakże sobie tam dacie radę? Wy mówicie trochę po niemiecku, a kolega może tylko po serbsku.

Wcale nie — odrzekł Węgier oburzony.— On mówi doskonale po albańsku, a ja znam różne języki. Mówię po serbsku i po węgiersku.

Naturalnie ani chciał wierzyć, żeby istniał kraj, gdzieby nie rozumiano tych języków, a Czarnogórzec, posłyszawszy to, ruszał ramionami z niedowierzaniem.

Mówiliśmy o drożynach i kosztownych machinach do wydobywania złota. W drożynę nie wierzyli, a co do machin, to któżby był głupi ich używać, kiedy wystarczy zbierać złoto rękami tam, gdzie go jest dosyć.

Czarnogórzec, który się długo nosił z pytaniem bardzo go obchodzącym, kazał je nam wreszcie przetłumaczyć.

— Czy można kupić porządny rewolwer w Johannesburgu?

I czekał niespokojnie na odpowiedź.

— Bo to widzicie państwo — tłumaczył Węgier, — on musi swój zostawić w Czarnogórzcu.



— Czemu? przecież wydaje się dobry.

Czarnogórzec pogłaskał czule swój rewolwer: zabralby go z pewnością, ale cóż? kiedy musi przejść kawałek ziemi austryjackiej do Cattaro, a tam nie wolno wstąpić z bronią w rękę.

Poddaliśmy, że może wystarać się o pozwolenie u władz.

— Gdzietam, ani myśleć! Nie pozwolę za nic. Wy nie znacie Austryjaków! — rzekł Węgier tajemniczo. Nieznane kraje, obce języki, Burowie, Anglicy, fale wzburzonego oceanu, wszystko to nic w porównaniu z trudnościami, jakie przedstawiało przejście tego wężkiego paska austryjackiej ziemi.

Powiedzieliśmy mu, że rewolwerów pełno w Johannesburgu, co go uspokoiło i wprawiło w dobry humor. Rozstaliśmy się w najlepszej przyjaźni.

Droga od Rijeki wznosi się szybko; pnie się po dzikich wzgórzach, w okolicy skąpo zaludnionej. Pasma gór urywa się stromo, a poniżej, na obszernej równinie bieleje miasto Podgorica. Równina ta jest widocznie dawnym ło-

żyskiem jeziora Skodra, a zwir i kamienie przez wodę naniesione, pokrywa cienka warstwa ziemi. Jednak kukurydza i tytoń dobrze się tam udają, a mieszkańcy coraz więcej ziemi zajmują pod uprawę. Pola odłogiem zostawione zarastają splątaną trawą i gęstemi krzewami a roją się od żółwi, które żerują tuż przy drodze. Rzeka Moracka, wyłobiała sobie głębokie koryto między nami a miastem i pędzi z szumem swe nurty błękitno-zielone. Trzeba wyminać miasto, aby się dostać do mostu i dopiero w sześć lub siedem godzin (stosownie do pogody i stanu dróg), po opuszczeniu Cetynji wjeżdżamy do Podgoricy.

Jest to największe miasto w Czarnogórze, liczy bowiem pięć do sześciu tysięcy mieszkańców, a zarazem stanowi punkt środkowy dla handlu, leżąc pośrodku między Cetynją i Nikszitjem i łącząc się dobrą drogą bitą z Pławnicą nad jeziorem Skodra. Do miasta tegoż nazwiska jest komunikacja parowcem, do Antiwari zaś niedaleko przez Wirbazar.

Z powodu położenia swego Podgoryca była cenioną przez obie strony walczące o ten kawał ziemi: Turcy trzymali tam załogę i wojsko, które wysyłali na Czarnogórę; Czarnogórcy zaś ciągle się kusili o wydarcie wrogowi tej części dawnego Królestwa Serbskiego. Wymordowanie dwudziestu Czarnogórców w Podgorycy w czasie pokoju (1874 r.) oburzyło lud, który się połączył z Hercegowińcami i wspólnie ruszył na wroga. W r. 1876 w październiku obleżono i zdobyto Podgorycę, zburzono mury bronią zabraną Turkom i nowe miasto wyrosło na przeciwnej stronie rzeki Rybnicy.

Dla ludzi przybywających z Zachodu jest to miasto zajmujące i posiada wdzięk sobie właściwy, chociaż nie jest tak okazałe, jak Cetynje. Dziwna tu mieszanina prądów i zwyczajów: Wschód spotyka się z Zachodem, ludność urozmaicona, wesoła, trochę barbarzyńska, chociaż spotykamy i perkale manchesterskie i syfony z limonadą i inne nabytki cywilizacji.

Czarnogórska Podgoryca jest czysta

i wesoła. Długa główna ulica wykładana białym kamieniem, ze sklepami o czerwonych dachach, pełnymi towarów, i duży kwadratowy rynek, gdzie się odbywa targ tygodniowy, pełne są życia i ruchu. Wszystko to wysadzone małymi drzewkami akacji i białej morwy, tak, że jasne liście, biała droga, zielone okiennice, dachy czerwone i różnobarwne stroje ludowe, skąpane w promieniach południowego słońca składają się na obraz jaskrawy i oryginalny. W dali błękitnieją nadgraniczne góry, a na tle ich wystrzelają ku niebu białe, smukłe minarety starego miasta tureckiego.

Rybnica dzieli nowe miasto od starego, a po moście, spinającym wielką kłamrą oba brzegi, snuje się tłum dziwacznych ludzi: to wieśniacy z równin i wpółdzicy górale Albańscy kroczą ze swych średniowiecznych mroków w świat już nieco oświecony blaskami dwudziestego stulecia. Wozy bawołami zaprzężone o dwóch wielkich kołach i koszałkach wyplatanych, przesuwiają się powoli, turkocząc i skrzypiąc na źle smarowa-

nych osiach. Warto im się przypatrzeć, bo na takich wozach jeździli praojcowie nasi z jedenastego wieku, co można sprawdzić chociażby z Harlejskich rękopisów w Anglii.

Wszystko się tu robi powoli. Cały dzień ludzie ciągną wodę z otwartej, kamieniem obmurowanej studni, na placu między starym a nowym miastem; ciągną zaś powoli i mozolnie, bo niema żadnego przyrządu ułatwiającego robotę, ani bloku, ani pompy. Wodę wyciągają worem żaglowym uwieszonym na postronku, a trzy lub cztery wiadra takie idą na beczułkę.

Pomimo że Podgoryca jest centralnym punktem angielsko-czarnogórskiej kompanji handlowej i sprowadza z Manchesteru bawełnice, dalekim jest dzień, w którym się pozbędzie swych patryjarchalnych zwyczajów. Przechodziłam właśnie główną ulicą wraz z moją przyjaciółką, gdy się ukazał młody Albańczyk niosąc świeżo u krawca nabyte—spodnie. Zaledwie wyszedł na ulicę, otoczyli go przyjaciele i zachwyceni haftami czy krojem nowego ubra-

nia, zapragnęli przymierzyć je na szczęśliwym nabywcy. Zabrali się do tej operacji we drzwiach sąsiedniego sklepu, tak, że uznałyśmy za stosowne zwrócić się w boczną uliczkę.

Kiedyśmy powróciły po kilku minutach, dwaj przyjaciele silnie ciągnęli ubranie z przodu i z tyłu w górę, reszta zaś wpychała z całej siły właściciela pięknych spodni do ich wnętrza. Nie łatwe to było zadanie, ale wkońcu, po długim targaniu, obciąganiu i zapinaniu rozmaitych rzemyków, młodzieniec wyszedł tryumfalnie na środek ulicy, obciśnięty tak, że nie mógł zgiąć kolan, ale zadowolony i podziwiany przez całą Podgorycę.

Wędrowni cyganie snują się tu także, spakowawszy swe nieliczne ruchomości, namioty i cynowe kociołki na grzbietach małych koników; dzieci nagie, jak przysły na świat, siedzą na wierzchu tych pakunków. Cyganie nie mają stałych siedzib i od wieków przenoszą się z miejsca na miejsce.

Niektórzy z nich są bardzo piękni. Widziałam ich w pochodzie: mężczyźni naprzód, po trzech w rząd, w kurtkach

i brudnych białych obcisłych spodniach, oberwani, bez koszul, ale za to uzbrojeni od stóp do głowy: każdy z nich oprócz wielkiej strzelby miał długi nóż i pistolet za pasem czerwonym. Krucze włosy splątane spadały im na oczy czarne, błyszczące jak u kota, i tak samo unikające obcego spojrzenia. Białe zęby i mosiężne guzy u kurtek odbijały od ich ciemnej skóry, a głowę nosili hardo na żyłastej, ogorzałej szyi. Za nimi szli chłopcy, kobiety i dzieci z manatkami i rupieciami; kobiety o płci bronzowo-złotawej, pąsowych wargach i zębach perłowych, z włosami splecionymi w dwa grube, czarne warkocze po obu stronach twarzy, jak u niewiast na pomnikach starego Egiptu, o postawie królewskiej i uśmiechu przyjaznym, nie tak jak ich mężowie namarszczeni lub z podełba patrzący.

Lud ten tak się zdaje należeć do odległej przeszłości. że ja po prostu byłam zdziwiona, gdy jedna z dziewczyn, wsporniale udrapowana w szkarłatne z pomarańczowym płachty, przemówiła do mnie płynną włoszczyzną:

— Ja jestem cyganka. A wy, czy z Włoch?

Okazało się, że Włochy to jedyny obcy kraj, o którym wiedziała cokolwiek; o Anglii zaś nie miała najmniejszego pojęcia. Wyraziła przypuszczenie, że to być musi bardzo daleko i podzieliła się otrzymaną wiadomością z gromadą albańskich i czarnogórskich chłopaków, stojących opodal. Służący z pobliskiej gospody wyszedł, by rozpedzić to zbiegowisko, i na sam widok jego chłopcy rozbiegli się, ale dziewczyna nie ruszyła kroku i zasypała niefortunnego posłańca takim gradem słów, błyskając przytym dziko oczami, że ten śpiesznie zrejterował.

Powiedziałam „że panie chcą się ze mną rozmówić” — objaśniła, zwracając się do nas

Ona zrozumiała wybornie to, czego pojąć nie mogli Czarnogórcy, a mianowicie, że my podróżowałyśmy dla przyjemności tylko, i wcale się temu nie dziwiła, a dowiedziawszy się, co chciała, pożegnała nas z wdziękiem.

Cyganie czarnogórscy i albańscy są



po większej części Mahometanami, a jak się tu mówi,—poganami. Żenią się zwykłe pomiędzy sobą. Otóż jednego dnia cała Podgoryca była poruszona cygańskim weselem. Z poza rzeki dochodziły nas rytmiczne uderzenia w tamburyno, przerywane od czasu do czasu niaby długim jękiem, co razem tworzyło dziwną oryginalną muzykę.

Poszliśmy przez most i wmieszałyśmy się w tłum zgromadzonych tam widzów, brudnych, lecz rozweselonych podwójnym widowiskiem, mieli bowiem przed sobą dwie cudzoziemki niewiadomo skąd przybyłe i fetę odbywającą się obok w ogródku. Trudno nazwać ogródkiem to podwórko przy chałupie nad rzeką zbudowanej, a w którym gromada jaskrawo ustrojonych cyganek posuwała się rzędami wprzód i w tył naprzemiennie, śpiewając przytym, a raczej wywodząc długi, wyjący śpiew, podczas gdy tamburyno wybijało jednostajnie takt swoim pum — pum.

Nagle rozstąpiły się wszystkie, a w opróżnione koło wskoczyła młoda tanecznicą, cała w białej jedwabnej gazie ze

złotą żuawką i takimże pasem, z rzędem złotych brzęczących monet na głowie. Unosząc wdzięcznie ręce nad głowę, błyskając złotym haftem i powiewając białymi upięciami swemi, odtańczyła sztuczne solo z wielką lekkością i gracją.

Gdy się to skończyło, całe grono usunęło się do brudnej chaty obok; i my odeszliśmy także, nie mając ochoty służyć za widowisko niechlujnemu otoczeniu. Chałupa była główną kwaterą pana młodego i tam się odbywał przedślubny raut.

Nazajutrz rano cztery pojazdy wpadły naraz do miasta, wioząc oblubienicę i jej orszak weselny ze Skodry albańskiej. Głowy końskie ustrojone były w chusty muślinowe jaskrawo haftowane, a pojazd panny młodej starannie osłonięty firankami i oponami. Na trzech dalszych wehikułach mieściło się ogromne mnóstwo mężczyzn uzbrojonych od stóp do głowy.

Gdy ci wysiedli, podjechał wóz oblubienicy tuż do bramy podwórka, a mężczyźni utworzyli niby długi tunel aż do

drzwi chaty, trzymając wysoko nad głowami białe płachty. Pod tą osłoną, niewidzialna dla ginących z ciekawości spektatorów, przebiegła oblubienica; że zaś okna chaty były już zawczasu zakryte i zakratowane, myślałyśmy, że nic nie zobaczymy. Tymczasem jednak zauważono nas w orszaku weselnym i kilku mężczyzn zbliżyło się, rozprawiając i giestykulując, a jakiś młody Czarnogórzec z pomiędzy widzów objaśnił, że cyganie zapraszają nas obie do wnętrza chaty. Wszyscy zazdrościli nam tej inwitacji, my jednak wahałyśmy się, czy wejść do tej brudnej dziury. Ale widocznie państwo młodzi chcieli się pochwalić swoim przepychem przed obcymi i wyprawiono po nas ogromnego czarnego draba, z którym nie było żartów, tak, że niebawem znalazłyśmy się wraz z nim we drzwiach chaty.

Spojrzałyśmy od progu we środek, ale zapóźno już było się cofać; zrobiono nam miejsce natychmiast w izbie niskiej, ciemnej, z błotnistą podłogą, słowem takiej, że nawet niewybrednego osiołka nie możnaby tam pomieścić. Ci-

sneło się tam mnóstwo mężczyzn, których oczy i srebrem nabijane bronie błyszcząły w ciemności; jedynie bowiem przez drzwiczki otwarte i przez szpary przenikało trochę światła z zewnątrz.

Gdy oczy oswoiły się z ciemnością, zobaczyłam w kącie duży kocioł z kawałkami bardzo nieapetycznie wyglądającej gotowanej baraniny, z pływającymi wyspami tłuszczu, i zrobiło mi się mdło na myśl, że wypadnie wziąć udział w tym śniadaniu weselnym. Ale tymczasem mężczyźni pilnujący drzwi drugiej komnaty rozstąpili się, i myśmy tam weszły, a oprócz nas jeden tylko, pan młody. Była to taka sama dziura, jak i tamta, ale brudne kamienne ściany obwieszono haftowanymi złocisto makatami i oświetlono olejnymi lampami.

Kobiety siedziały na podłodze, gęsto jedna koło drugiej, a śniade ich twarze, odsłonięte, odbijały od wspaniałej jaskrawych strojów. Wydawało się to, jak przepyszna, bijąca w oczy mozaika różnobarwnych plam: purpura, szkarłat, białe i pomarańczowe chusty, a wszystko obhaftowane i osypane mnóstwem

blaszek, cekinów, przepasek na głowę, naszyjników i pasów aż kapiących od złota. Może przy świetle dziennym okazałoby się, że to szych i szkiełka, ale tak, przy lampach, wyglądało jak klejnoty i drogie kamienie.

Na krześle, jedynym w pokoju, zwrócona plecami do drzwi wchodowych, tak, że jej z sąsiedniej izby dojrzeć nie można było, siedziała oblubienica sztywna, wyprostowana, nieruchoma, jak bożyszczce Wschodnie, z rękami złożonemi na piersiach. Szaty jej twarde były od złotych haftów, a gruba zasłona purpurowa ze złotem zakrywała ją aż do kolan. I tak musiała siedzieć bez ruchu dzień cały. Nie wolno jej było nawet jeść samej i tylko parę razy w dniu podawała jej pożywienie pod zasłoną jedna z kobiet otaczających.

U stóp jej siedział ze skrzyżowanemi nogami narzeczony, który, zdaje mi się, nie widział jej dotąd wcale. Pan młody, jak gdyby wyjęty z dekoracji teatralnej, przystojny chłopak lat około dwudziestu pięciu, na którego rosłej postaci opinało się zręcznie obcisłe czarne z bia-

łym ubranie albańskie, a cały arsenał broni rozmaitej nadawał mu bohaterski pozór. Oczy miał stale utkwione w purpurową zasłonę swej bogdanki, co dowodziło niemałej cierpliwości. Powietrze ciężkie było od wonnych trociczek, które zapewne miały tłumić nieznośne wyziewy ciał ludzkich.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, a z gościów i uśmiechów domyślałyśmy się, żeśmy dobrze zrobiły przychodząc tu, niestety jednak nie rozumiałyśmy ani słowa z tej hałaśliwej przemowy. Na wszelki wypadek kłaniałyśmy się wszystkim, usiłując wyrazić wdzięczność, podziw i admirację. Czy chciano nas dłużej zatrzymać, nie wiem, ale z obawy przed robactwem rojącym się w tej kompanji, oraz przed kawałami owej baraniny w kotle, wycofałyśmy się z ukłonami do drzwi, potym do pierwszej izby, skąd nas grzecznie odprowadzono do bramy.

Sądząc z uśmiechów i ukłonów, któremi nas żegnano, sprawiłyśmy przyjemność weselnemu gronu naszą wizytą.

Po odejściu naszym zamknięto drzwi

i nastąpiła chwilowa cisza, spowodowana zapewne spożywaniem baraniny; jeśli tak, udało się nam wymknąć w samą porę.— Po południu ozwały się znów śpiewy i tamburyny i do późnej nocy wiatr przynosił nam odgłosy weselnych pieni.

Pomimo mieszanej ludności chrześcijan z mahometanami, wzorowy tu panuje porządek. Im więcej poznaję ten kraj, tym bardziej to podziwiam. Zarzucają z Czarnogórców twierdząc, że gdy którego z nich zapytać, co umie robić, odpowie, że może „nadzór mieć” i okazuje się, iż w rzeczy samej nic innego nie potrafi. A jednak przyznać trzeba, że najlepsi policjanci krajów cywilizowanych nie potrafią skuteczniej i spokojniej pilnować porządku.

Względem podróźnych Mahometanie są bardzo grzeczni. Wprawdzie wszelka próba zdjęcia fotografii kobiety mahometañskiej jest uważana za osobistą obrazę i może spowodować najprzykrzejsze skutki, ale gdy się szanuje miejscowy obyczaj, doświadcza się nawzajem największej uprzejmości.— Uważałam, że tu, jak i na całym świecie większa część

sporów między rozmaitemi narodowościami powstaje z powodu zaczepienia kobiety, do której ktoś inny rości sobie prawo; to też dama podróżująca sama, nie daje przyczyny do tego rodzaju sprzeczek i pewną być może życzliwego przyjęcia.

Prawosławni Czarnogórcy są bardzo przyjacielscy. Na Wielkanoc, gdy się wszyscy pozdrawiali, obdarzając się nawzajem czerwonymi jajkami, nie zapomniano i o nas.

— Krsti uskrsuio je (Chrystus zmartwychwstał)—brzmi pozdrowienie.

— Tak jest — zmartwychwstał—należy odpowiedzieć, przyjmując jajko.

Ludzie chodzą wtedy z domu do domu, a wszędzie stoją przygotowane jaja na stole dla gości, którzy muszą ucałować gospodarza i gospodynię domu trzykrotnie, na pamiątkę Trójcy Świętej.— Pocałunki czarnogórskie (mówię to jako spektatorka tylko) są nadzwyczaj serdeczne. Pojęcie przechodzi, ile ich się sypnie w ciągu świąt Wielkanocnych trwających całe cztery dni.

Czarnogórcy obchodzą spokojnie swo-



je święta. Dawniej to samo mówiono o Anglikach, ale cywilizacja wiele zmieniła. Ciekawa rzecz o ile zyska Czarnogórze cywilizując się, i czy zyski zrównoważą straty? Cywilizacja terazniejsza bowiem często okupuje wygody i zbytki fizycznym a częstokroć i moralnym obniżeniem. Kiedy się Czarnogórcy dowiedzą, bez ilu rzeczy obejść się nie można w życiu, może się staną lepsi do pewnego stopnia, ale to pewna, że z wielu względów będą wtedy gorszymi.

Wszystkie chrześcijańskie przynależności znajdują się po jednej stronie rzeki Rybnicy, mahometańskie zaś po drugiej. Cmentarz turecki leży daleko za starym miastem; wygląda smutny i opuszczony. Cmentarz prawosławny zaś znajduje się po czarnogórskiej stronie miasta. Umarłych niosą tam do grobu w otwartej trumnie, tak, że oblicze nieboszczyka jest widzialnym, a wieko od trumny niosą osobno. Mówiono mi, że przyczyną takiego obyczaju jest to, iż za czasów tureckich często w trumnach ukrywano broń; ale pozwalam sobie wątpić o tym, we Włoszech bowiem nie-

gdyś panował takiż obyczaj, a w Hiszpanji, podobno, dotąd panuje.—Jest to raczej pozostałość z czasów, kiedy zmarłych palono, a ciało niesiono na stos na odkrytych marach. Otwarta trumna, śpiewy pogrzebowe, światła niesione w orszaku żałobnym, oraz stypy i do roczne uroczystości odbywane na grobach, lampy i kadzidła palone na nich, wszystko to razem przywodzi na pamięć obrzędy i ceremonje odbywane w taki sam sposób u starożytnych Rzymian. A kto wie, czy nie są one jeszcze dawniejsze.

### III. Ostrog. — Gościnność Archimandryty.

Jeździłam później nieraz tą samą drogą i odwiedzałam Ostrog, ale nigdy nie zapomnę mojej pierwszej tam wycieczki przed trzema laty. O tej właśnie części podróży naszej mówiono, że nie napotkamy żadnych trudności, ponieważ tam można się porozumieć obcemi językami i znaleźć wygodne pomieszczenie.

Wyruszyliśmy więc z Podgorycy w najlepszym usposobieniu.

Dolina Zety jest zielona i dobrze uprawna. Zwęża się w miarę jak się postępuje w górę, a samotne wzgórze, uwieńczone ruinami tureckiej twierdzy, ukazuje się na samej drodze. Niegdyś w tym miejscu Czarnogórze miało tylko piętnaście mil szerokości, a z dwóch stron Spuz i Nikszitje strzegły granicy.

Od tego czasu wiele się zmieniło: Spuz z ważnego nadgranicznego miasteczka zszedł na skromną, nieznaczącą wioskę, ale natomiast Daniłowgrad, założony za pamięci nioboszczyka księcia, o kilka mil dalej, urósł na miasto pełne życia i rozkwitające widocznie z dniem każdym. Teraz można dojechać do niższego klasztoru Ostrogskiego piękną nową drogą, ale za pierwszej mojej bytności nie istniała ona jeszcze, i musieliśmy się zatrzymać w Bogaticzu, ubogiej osadzie z ładnym kościołkiem. Na spotkanie nasze wyszedł z małego „hanu” wysoki, szczupły Czarnogórzec o smętnym wejrzeniu, z lewą ręką na temblaku, wydając silną woń karbolu.

Smutne to było gospodarstwo, bo żona jego, która przyniosła wody naszym koniom, miała rękę uciętą parę cali poniżej łokcia i trzymała wiadro w okropny sposób na tym pozostałym kawałku ramienia. Ożywili się jakoś, dowiedziawszy się, że my potrzebujemy przewodnika do klasztoru i obiecali dać nam swą córkę, którą w tym celu wywołali z sąsiedniej szopy.

Ukazało się dziko wyglądające, bose, może piętnastoletnie dziewczę, z robotą pończoszkową w ręku; pojęło odrazu o co rzecz idzie, i zarzuciło sobie na plecy nasze dwa worki ręczne, przywiązawszy je kawałkiem sznura. — Z taką eskortą wyruszyliśmy, zabrawszy jeszcze udziec barani, bochenek czarnego chleba, album rysunkowe i flaszkę wódki.

Było właśnie południe, w środku lata, powietrze parne jak przed burzą, bez najmniejszego powiewu. Trzeba było wdrapywać się na górę po piargach wprost za dziewczyną mocno sapiącą i nie szukającą wcale ścieżki, chyba tam, gdzie już się utrzymać nie można było na stromej pochyłości. Droga sta-

wała się coraz bardziej urwistą, po prostu niedostępna skała, a gorąco nie do zniesienia. Gdy więc mała nasza przewodniczka wydała resztę tchu przeciągłym gwizdnięciem i wskazała na jakiś cienisty załom obok, zatrzymaliśmy się i usiedliśmy na kamieniu, by choć chwilę wypocząć.

Wielka to korzyść mieć dziewczynę za przewodnika, bo przynajmniej doprowadzi do celu i da spocząć na drodze. Z chłopcami rzecz się ma inaczej: spuścić się na nich nie można — roztrzepani są i niekonsekwentni; zwykle nazbierają sobie w drodze towarzyszy niewiadomo skąd, jak z pod ziemi wyrastających, potym okazuje się, że nie wiedzą dobrze kędy iść, albo też doprowadzą umyślnie do innego miejsca niż obiecali.

Otóż siedzieliśmy z naszą dziewczynką i próbowaliśmy, z małym, co prawda, skutkiem, zawiązać z nią rozmowę. Miejsce to było dzikie, puste i tak nieokrzesane jak za czasów stworzenia, z wyjątkiem śladów ścieżki przez pielgrzymów tu i owdzie wydeptanej. Ogromne, szare skały wznosiły się wkoło nas

a tu i owdzie ze szczeliny wyrastało koszlawe drzewko; po trawie pełzał zółw, a mała, bura jaszczureczka przesuwała się po wygrzonym kamieniu. Daleko w dolinie trawy zsychały od skwaru, a naprzeciw nas wysterkały głazy innego pasma gór. Ani śladu ludzkiej siedziby, jak spojrzeć wkoło.

A jednak pozory mylą, bo w kilka minut stamtąd doszliśmy do muru, bramy i kilku budynków. Dziewczynka zdawała się mówić, żeśmy już na miejscu, więc obejrzałyśmy się szukając owej gospody, gdzie się można porozumieć po francusku, po włosku, lub niemiecku.

Przeszedzszy bramę, znaleźliśmy się na długiej i dość szerokiej policy czy terasie u stoku góry na 1900 stóp nad poz. m. U wejścia stało parę nędznych chat, z przeciwnej zaś strony mały, zgruba w geometryczne figury pomalowany kościółek i trzy małe, napozór niezamieszkałe domki. Nigdzie ani żywej duszy.

Dziewczynka weszła do jednej z chat i przyniosła w blaszanym rondlu zimną wodę, którą wypiliśmy chciwie, a tym-

czasem ukazała się jakaś kobiecina, zapewne mieszkanka chaty, dała nam drugą porcję wody i ławeczkę do siedzenia.

Zdawała się dość wzruszona naszym wyglądem, bośmy byli przepoczone aż do nitki, a ja w dodatku miałam na plecach czarną odblaskową rękę naszej dziewczynki; że jednak nie mogłyśmy się porozumieć żadnym językiem, kobiecina wróciła do siebie, a my zostałyśmy na ławce zadumane nad naszym losem.

Jeżeli to jest ów sławny Ostrog, nie warto było piec się żywcem, aby tam się dostać; jeśli jest coś więcej do zobaczenia, to chyba czekać, aż się mieszkańcy pobudzą z popołudniowej drzemki. Wynalazszy tedy kawałeczek cienia, zabraliśmy się do naszych zapasów podróżnych i pokroiwszy kozikiem chleb i baraninę, zajadałyśmy smacznie. Dziewczynka pomagała dzielnie, połykając, jak wilk, ogromne kawały mięsa. Popiło się wódką z flaszki, a zawiąawszy resztki ucztę na przyszłość, czułyśmy się znacznie rzeświejsze.

Wtym ukazał się na białej ścieżce, od zamarłych domów, człowiek bardzo,

bardzo stary, w ubraniu europejskim i szedł potykając się ku nam. Przemówiliśmy rozmaitemi językami, ale włoski i francuski nie przydał się na nic; po niemiecku wreszcie zrozumiał i natychmiast obdarzył nas swoją autobiografią. Otóż kiedyś był żołnierzem i bił się pod Karagieorgiewiczem; teraz musi tu siedzieć do końca życia. „Oni” go tu zapędzili i kazali mu własny grób kopać, tam za górą. Samotny był i nie miał do kogo słowa przemówić ..

Gdy przerwał na chwilę, zaczęliśmy pytać o nocleg.

— A czy macie polecenie od Archimandryty z Cetynji?

— Nie.

— To i niema po co czekać; a najlepiej wyruszyć zaraz z powrotem, jeśli przed nocą chcecie być w Nikszytjach.

Oślupiałśmy.

— Idźcie, idźcie zaraz — powtarzał, — ja dla was nic zrobić nie mogę. „Oni” mnie cierpieć nie mogą. Oni mówią tylko po serbsku i was nie rozumieją. Zresztą oni śpią... — i wskazał na ich dom.



Na zapytanie nasze, kiedy się obudzą, odrzekł, że za godzinę lub dwie, ale ponieważ miał minę dość złośliwą, a przy tym dziewczynka chrapała w najlepsze, rozciągnąwszy się na ziemi, uznaliśmy za stosowne poczekać aż się „oni” obudzą i zdrzemnęliśmy się same pod drzewem. Tymczasem staruszek, który „nie miał do kogo słowa przemówić” wdał się w ożywioną gawędę z gospodynią chaty opodal.

Kiedyśmy niebawem przetarły oczy, okiennice „ich” domu były otwarte, więc śmiało ruszyliśmy do drzwi i zapukałyśmy. Nic. Pukamy drugi raz i uciekamy śpiesznie ze schodków trochę niespokojne co będzie.

W tym otwierają się drzwi i na progu staje Archimandryta Ostrogu we własnej osobie, w czarnej długiej szacie z czerwonym pasem, w wysokim aksamitnym kołpaku, z siwymi włosami, spadającymi w lokach na ramiona, — mały człowieczek.

Ujrzawszy nas, zbiegł żwawo ze schodów i ścisnął za rękę serdecznie; powtarzając „Dobar dan, dobar dan” (do-



brydzień) z taką radością, jak gdyby się nas oddawna spodziewał.

Odpowiedziałśmy „Dobar dan” z takimże uniesieniem i rozmowa utknęła.

Staruszek wprowadził nas ceremonjalnie do swej bawialni, usadził na sofie, a sam się umieścił na krześle naprzeciw. Ale cóż dalej? Poczciewicz nie umiał ani słowa po niemiecku, ani po angielsku, francusku lub włosku. — Dałyśmy mu do zrozumienia, żeśmy przybyły z Anglii, a dziś pieszo z Bogaticza, i — zamilkłyśmy strapione. on zaś mówił nie zająknąwszy się dalej swoim językiem.

Zdawało się, że wycieczka nasza zupełnie chybiona: wstałyśmy chcąc się pożegnać, ale zacny staruszek za nic nie mógł się na to zgodzić.

— Sjedite, sjedite — wołał odprowadzając nas z powrotem na sofę

Zadzwonił i wnet okazał się olbrzymi Czarnogórzec w ciemnej burce. Za chwilę wyszedłszy powrócił niosąc na tacy dwie szklanki zimnej wody, które nam podał ceremonjalnie, a gdyśmy wy-

piły co do kropli, zabrał naczynie i wyszedł, cofając się do drzwi.

Teraz nastąpiło groźne milczenie: pokazywałyśmy sobie nawzajem zegarek, żeby dać poznać gospodarzowi, że czas nam drogi, ale napróżno: znów rozpoczął przemowę, a po chwili wszedł olbrzymi Czarnogórzec wnosząc tym razem dwie filiżanki kawy, którą wypiliśmy w milczeniu. Wreszcie Archimandryta widząc, iż w żaden sposób nie porozumie się z nami, kazał sprowadzić staruszka mówiącego po niemiecku i ten nam wytłómaczył, że Wielebny Ojciec ofiaruje nam nocleg w domku naprzeciwko.

Przyjęliśmy z wdzięcznością. Wywiedziawszy się jeszcze, czyśmy zamężne i usłyszawszy że nie, upewnił uprzejmie, że to nic nie szkodzi i zaproponował, abyśmy natychmiast zwiedziły święty przybytek na górze. Wskazano nam drogę i—zostawiono własnemu przemysłowi.

Prawdę rzekszy, niebardzośmy były usposobione do tej wyprawy: wstałyśmy przecież o piątej i oprócz krótkiej

drzemki pod drzewem, nie zakosztowałyśmy ani chwili spoczynku; toteż uszedszy nie wielki kawałek drogi, ułożyłyśmy się z rozkoszą na trawie i już miałyśmy smaczno usnąć, gdy złowrogie chochliki zesłały dwóch krajowców — starca i pięknego bardzo chłopca. Obaj zainteresowali się żywo losem naszym, a kiedyśmy nie mogły zrozumieć, czego od nas chcą, zaczęli coraz głośniejsze krzyczeć. Staruszek usiadł obok nas na trawie, a piękny młodzieniec dopóty trącał nas wskazując na ścieżkę opodal i krzyczał mi coś w ucho, że, rade nie rade, aby się ich odczepić, musiałyśmy iść dalej, ku wielkiej ich radości.

Wkrótce stanęłyśmy przed górnym Monasterem Ostrogskim, a widok, który się oczom naszym ukazał, był tak nadzwyczajny, żeśmy odrazu zapomniały o zmęczeniu, zniechęceniu i wszystkim.

Otóż stałyśmy na terasie wyciętej w skale i wzniesionej 2,500 stóp nad p. m., mała gospoda tuliła się do zbocza góry, a schody świeżo wykute wiodły przez kamienną bramę do całego szeregu

jaskiń wydrążonych w skale, omurowanych i przysłoniętych daszkami, tak, że tworzyły malutkie domki uczeplone u skały, jak gniazda jaskółcze. Skaliste sklepienie ocieniające to wszystko, całe czarne od dymu, a dwa białe krzyże wymalowane na urwisku oznaczają święty przybytek. W górę pnie się prostopadła skała, a gdzieś daleko u dołu widać dolinę, z której wyszliśmy dziś rano.

To jest właśnie owo orle gniazdo, w którym 1862 r. Mirko Pitrowicz, ojciec teraźniejszego księcia, wraz z dwudziestu ośmiu ludźmi stawiał opór przez dni ośm całemu wojsku tureckiemu, podobno dziesięciu tysiącom. Napróżno starali się Turcy skruszyć kamienną warownię, albo dymem wykurzyć dzielnych obrońców: Mirko z oddziałem swym zużywszy całą amunicję i stoczywszy mnóstwo brył skalistych na wroga, umknął nocą poprzez górskie wąwozy i o świcie stanął w Rijece, straciwszy jednego tylko człowieka. Opowieść ta dotąd krzesze iskry z oczu każdego Czarnogórca i trzeba ją słyszeć z ust czarnogórskich, aby to należycie odczuć.

Sto lat przedtym obroniło ten ostróg trzydziestu ludzi przeciw całemu wojsku, i dwa razy tylko w ciągu wieków udało się Turkom zająć go: raz po odejściu Mirka, a drugi raz w 1877 r., kiedy to Sulejman—pasza z Ostrogu przesłał do Carogrodu wiadomość, że Czarnogórę podbił i prosi o tureckiego gubernatora dla tego kraju. Nim jednak poselstwo doszło, już Pasza umykał do Spuzu, utraciwszy po drodze połowę swych żołnierzy. Zato „dolny monaster” był kilkakrotnie palony i odbudowywany.

Siedziałyśmy wpatrzone w tę widownię strasznych bojów. O nich mówiła czarna, dymem osmolona jaskinia, a wielki biały krzyż mówił o świętym człowieku, którego relikwie tam spoczywały.

Sweti Wasyli, patron miejscowy był w początku XVIII-go wieku metropolitą Hercegowińców. Pod koniec życia schronił się w góry od tureckich prześladowań i w tej ukrytej jaskini przebył aż do śmierci, czczony przez wieśniaków okolicznych. Wkrótce po zgonie jego, wydrążono skałę i utworzono ka-

pliczkę, gdzie spoczywają zwłoki świętego. Tłumy pielgrzymów napływają tam, zwłaszcza w niedzielę Trójcy Świętej, idąc pieszo z Bośni, Hercegowiny, Albanji, nawet z najodleglejszych zakątków półwyspu Bałkańskiego. I to nie tylko chrześcijanie, ale i mahometanie śpieszą do grobu Św. Wasyla w Ostrogu, albowiem „cztery wieki niewoli i apostazji nie zatarły u bośniackich muzułmanów ufności jakiejś przesądnej w skuteczność wiary ojców ich”, i przybywają tu, błagając o pomoc w cierpieniach swych przy relikwjach Świętego, który za nich cierpiał. Tak samo czynią mahometanie albańscy.

Kiedyś przepędziłam tam noc w czasie pielgrzymki, gdy cały ów stok góry był jakby wielkim obozem, a pielgrzymi spali pod gołym niebem przy rozpalonych ogniskach; pomimo różnicy narodowości i wyznania tych ludzi, nic nie zakłóciło porządku, a nawet zauważyłam wzajemną życzliwość i usłużność w tym różnorodnym zbiorowisku.

Drogocenne te relikwie wywożone nieraz w czasie grożącego niebezpie-

czeństwa, aby się z niemi nie stało, jak z kośćmi Św. Sawy (patrona Serbów), które to Turcy publicznie spalili. Też samą ostrożność przedsięwzięto w czasie ostatniej wojny, ale gdy żołnierze unosili trumnę i schodzili w dolinę z nią, stała się nagle tak ciężką, iż musieli stanąć. Tam też stawili opór Turkom i świetne odnieśli zwycięstwo.

Gdyśmy tak siedziały przyglądając się skalnemu gniazdu, nagle ukazała się we drzwiach postać zupełnie zastosowana do otoczenia.

Był to wspaniały olbrzym z długą srebrną brodą i białymi włosami, spływającymi do ramion, a więc osoba duchowna. Wysoka astrachańska czapka futrzana okrywała mu głowę, i mimo gorąca miał na sobie ciężki płaszcz z granatowego sukna, bramowanego futrem, długą szafirową bluzę czy tunikę i szerokie spodnie wsunięte w długie do kolan, skórzane buty; ubranie to додаwało mu powagi.

Pozdrowiwszy nas majestatycznie, skinął i poszliśmy za nim. Mieszkaniem jego była wązka cela w skale, odgro-



dzona deskami. Gdyśmy usiadły, szanowny nasz gospodarz począł manipulować około jakiejś szafki i otworzył ją. — Cóż się ukazało oczom naszym? Oto olejny portret jego samego we wspaniałych złocistych ramach, które dziwnie odbijały od skromnego otoczenia.

Oryginał usiadł promieniejący obok swego konterfektu, żeby nam dostarczyć sposobności porównania; to też nie o mieszkaliśmy wysypać cały zapas serbskich pochwalnych przysłówków i przymiotników, jakimi mogłyśmy rozporządzać.

Wtedy starzec wstał z miejsca, zbliżył się do jakiegoś tajemniczego zakątka i wydobył stamtąd czarną butelkę oraz kieliszek także czarny, ale od brudu: spojrzął do światła i powoli palcem również brudnym, jak kieliszek, począł starannie szkło wycierać, co, ma się rozumieć, nie mogło wywołać pomyślnego rezultatu, ale pop był widocznie zadowolony, gdyż, przypatrzwszy się przez chwilę swemu palcowi, nalał do kieliszka jakiegoś bladego spirytusu.

Westchnąwszy po cichu do jakichś

duchów opiekuńczych, aby napój zabił bakterje, które mamy połykać, wypiliśmy za zdrowie pobożnego starca, który nas dobrotliwie poklepał i wskazał na drabinę prowadzącą do jeszcze mniejszej jaskini, czyli sypialni, całkowicie prawie wypełnionej łóżkiem, na którym rozpostarte prześcieradła świadczyły, że i teraz w Ostrogu obawiać się należy nocnych wrogów i krwi rozlewu.

Na ścianie za szkłem wisiały dwa medale: jeden rosyjski, drugi czarnogórski, a obok trzy w pieczęcie zaopatrzone dokumenty, pisane kirylicą.

Przewielebny zaczął wyczytywać nazwy rozmaitych miejscowości Czarnogórze, Bośni i Hercegowiny, wskazując na swe medale, a wkońcu wydobyl największy skarb swój: była to piękna laska z głową złotą filigranową z płytkami, gdzie były wypisane też same nazwy.

Patrzył na nią sam z największym uwielbieniem, a dla nas był to widok niezwykły. Ten siwy olbrzym i jego trofea pomieszczone w ciasnej jaskini wśród skał, promyk światła przenikający z okienka i igrający na srebrnej brodzie

i puklach jego, a migoczący na złocistych filigranach, ciemne tło, królewska mina, z którą starzec pokazywał nam skarby swoje, — wszystko to razem wskrzesiło przed oczami naszymi jakby bohaterski dramat z przeszłości. Ale starzec białowłosy odłożył laskę złocistą, schował ją starannie do futerału, przeżegnał się pobożnie przed małą ikoną Najświętszej Panny, zawieszoną w kącie — czar prysnął i wyszliśmy z celi.

Teraz szliśmy do kaplicy: korytarz był wązki, niski, z gruba wycięty w skale. Przewielebny skłonił się po dwakroć, obejrzał się, czy my robimy to samo, pochylił się i wszedł do małej jaskini, której głazy pokryte były freskami bizantyjskimi.

Ciemno było bardzo, bo światło dzienne dostawało się tylko przez drzwi wązkie i przez małe, w skale wykute okienko. Stary pop wskazał nam ikonostaz przedstawiający św. Wasila w szatach biskupich, potym zaczął zwolna i drżącymi rękami zapalać świece za pomocą krzesiwa i krzemyka. Gdy skończył, i zabłysły migotliwe płomyki, tonące

w cieniu jaskini, zbliżył się do grobu i zaczął coś dłubać około zamku; po chwili otworzył wieko, a przed oczami naszymi leżała postać świętego.

Widać było tylko stopy obute w pantofle, szaty haftowane i złoty krucyfiks na piersi, bo twarz i ręce zakrywała wata karbolizowana, łącząc w ten sposób starodawną wiarę z nowożytną nauką i jej zdobyczami. Zmysł powonienia silniej może niż inne budzi kojarzenie myśli i wrażeń, to też ja mimowoli odczułam ostrą sprzeczność dwóch tak różnych światów.

Dla staruszka woń ta nie przedstawiała nic rażącego: pochylił się z głęboką czcią, jak gdyby poraz pierwszy oglądał zwłoki świętego i zwolna, nabożnie całował nogi obute w pantofle, krucyfiks na piersiach i watę na obliczu, żegnając się za każdym razem. Bojąc się widocznie byśmy nie zaniedbały którejkolwiek z przepisanych ceremonji, ujął po kolei każdą z nas za kark i nachyliwszy głowy nasze ku trumnie, naprowadzał je na właściwe miejsca.

Gdyśmy w ten sposób dokonały zwie-

dzenia grobu św. Wasila, zamknął trumnę i okrył ją całunem.

Właśnie naradzałyśmy się pocichu w jaki sposób złożyć stosowną ofiarę, gdy nas staruszek wywiódł z kłopotu: oto wziął małą czarękę z okna i postawiwszy ją na trumnie, wrzucał w nią zwolna i z brzękiem kilka drobnych monet, potym odwrócił się i zaczął powoluteńku gasić świece. Z miny jego, gdy spojrział w czarękę za powrotem, poznałyśmy, żeśmy trafnie postąpiły.

Zabierałyśmy się już do zejścia w dół, gdy nas wstrzymał Przewielebny. Wskazał ku górze i zawołał na kogoś głośno. Jakież było nasze zdumienie, gdy się pojawił ten sam piękny młodzian, który nam przedtym w lesie spać nie dawał. Pod jego przewodnictwem wdarłyśmy się do jaskini jeszcze wyżej położonej, a skąd wytryskał strumień zimnej bardzo wody.

Podobno pielgrzymi nawiedzający to miejsce, nabierają cudownej wody w butelki i chłopak spodziewał się że i my to samo uczynimy; starał się nawet wytłómaczyć to, krzycząc gwałtownie nam

w uszy, jak przedtym, ale gdyśmy śpiesznie złożyły mu w dłoni brzęczące dowody wdzięczności za trudy, jakie poniósł, złagodniał i umilkł; my zaś opuściłyśmy jego i miejsce święte.

Zmierzch już zapadał, gdyśmy się zbliżały do dolnego monasteru i właśnie kończyło się wieczorne nabożeństwo, a archimandryta z całą kongregacją wychodził z kościoła.—Byłyśmy śpiące, brudne i głodne, tak, że serce nam zamierało z trwogi na myśl o nowej audjencji po serbsku.

Wprowadzono nas znów do bawialni u archimandryty ale, na szczęście, usłyszałyśmy wyrazy: „Vous parlez français, mes demoiselles?” i ujrzałyśmy przed sobą wyniosłą postać w długiej czarnej szacie i wysokim kołpaku duchownego prawosławnego.

Piękny niezmiernie, o długich, ciemnych włosach spływających na ramiona, stał przed nami, niby postać żywcem wyjęta z obrazu Lionarda da Vinci. i przemawiał krótkimi urywanemi zdaniami, dziwną jakąś łamaną francuszczyzną.

Prosił nas, byśmy usiadły, pozdrawiał i mówił:

— Chrześcijanie jesteście przecie, a chrześcijańskim obowiązkiem gościnność. Ja także gościem tu dzisiaj, ale panie, które z tak daleka przybywacie, na jakąż zasłużyłyście gościnę! Z Anglii, same, tak daleko aby zwiedzić nasze Czarnogórze! *Quel voyage! véritablement des héros!* Tutaj, w Czarnogórze przynajmniej bezpiecznie, ale podróżować przez całą Europę—to straszna rzecz!

Archimandryta, jak mówił, zmartwiony, że tak długo przygotowują dla nas pokój, ale to z powodu wielkiej pielgrzymki, którą niedawno trzeba tu było pomieścić.

— Za chwilę jednak pozawieszają dywany i wszystko będzie gotowe.

Zażenowane byłyśmy i prosiłyśmy, żeby sobie nie zadawano tyle kłopotu z nami, ale nic nie pomogło.

— To bardzo miło widzieć, że w Anglii mają tak dobrą opinię o naszym Czarnogórze, że dwie panie, same, do kraju naszego przybywają, że chcą nas poznać.

Doprawdy zdawało mi się, że jestem oszustem wyzyskującym dobrą wiarę poczciwego księdza, ale jemu to nawet w myśli nie powstało.

O każdym miał coś dobrego do powiedzenia, i tak: gdy weszło dwóch chłopaków z wodą i kawą, według zwyczaju, zaczął się zachwycać ich piękną budową, ich poczciwą fizjognomią.

— Prawdziwie czarnogórskie twarze—mówił,—bo też moi poczciwi Czarnogórcy są piękni! Zadaniem mego życia jest przebywać wśród nich, nieść im pomoc w biedzie. Mam mały kościółek w górach, maleńki — i tam mieszkam. Gdybym był wiedział, że panie podróźjucie tamtędy, byłbym je zaprosił, by nas odwiedziły, z pewnością...

Rozmowę naszą przerwało oznajmienie, że pokoje gościnne są już gotowe; przeszliśmy całą procesją do domku naprzeciwko, to jest dwaj duchowni, czterej słudzy i my dwie.

Przepraszano nas za ubogie urządzenie, tymczasem zastałyśmy dwa duże pokoje zupełnie wygodne.

Archimandryta przekonał się osobi-



ście czy dano wody w dzbany, czy mydła nie braknie, czy łóżka wygodnie posłane i uściskał nas za ręce, życzył dobrej nocy, poczym wszyscy odeszli.

Pełne wdzięczności za tę gościnność, nie mogliśmy jednak pozbyć się pewnego niepokoju na myśl, czy też nam dadzą jeszcze zjeść cokolwiek, bo od piątej rano do ósmej wieczór upłynęło już godzin piętnaście, a resztki baraniny i chleba oddaliśmy były dziewczynce naszej.

Wtym daje się słyszeć pukanie do drzwi i proszą nas do wielkiej jadalni, gdzie zastawiono dobry obiad. Uroczyła to była uczta: my dwie siedziałyśmy przy stole, — obsługiwało czterech ogromnych mężczyzn uzbrojonych, ale bardzo łagodnych. Wchodzili i wychodzili, w milczeniu podając co potrzeba i nie domyślając się nawet, jak nam imponowali swoim ogromem.

Nazajutrz raniutko Archimandryta i nasz przyjaciel po francusku mówiący, zjawili się, by nam asystować przy śniadaniu i poprosili, byśmy się zapisały w księdze pamiątkowej. My złożyłyśmy

dzięki za udzieloną nam gościnność, jak potrafiłyśmy najlepiej, Przewielebny gospodarz pobłogosławił nas, uścisnęliśmy się za ręce i za chwilę schodziłyśmy z góry.

#### IV. Nikszitje i Dukla.

Nikszitje leży o dwie godziny jazdy od ścieżki wiodącej od lub do Ostroga: przebywa się przełęcz górską, a w szerokiej równinie znajduje się miasto, przeznaczone przez obecnie panującego księcia na stolicę kraju. Teraz jeszcze nastąpić to nie może z powodu wielkiego oddalenia od reszty świata. Cóżby na to powiedzieli obcy konsulowie i posłowie, którzy i tak już uważają Cetynję za koniec świata? Wykrzyknęliby zapewne: „Jamais, jamais!” dyplomatycznym językiem, chociaż Nikszitje jest pięknie położone w wieńcu wspaniałych gór; w zimie cieszy się cieplejszym klimatem niż Cetynja, a latem chłodniej tu i świeższe powietrze niż w równinie Podgorocy.

Jednak dopóki nie poprowadzą drogi lub kolei żelaznej, któraby połączyła Nikszitje z wybrzeżem, nie może być mowy o przeniesieniu tam stolicy państwa. Linja, któraby połączyła Serbję z Antiwari via Nikszitje, dostarczając tym sposobem Serbji portu eksportowego, tak dalece sprzeciwiałaby się interesom Austrii zarówno politycznym jak i handlowym, że Austro-Węgry przeszkadzać jej będą o ile możności.

Dotąd nie istnieje żadna linja kolejowa na półwyspie Bałkańskim, któraby się ciągnęła od północy ku południowozachodowi, a wobec niepokojów tam panujących, trudno przypuścić, by rząd turecki zajął się budową kolei.

Miłość Czarnogórców dla miasta Nikszitje wypływa raczej z sentymentalnych pobudek; zdobycie bowiem grodu tego, uważanego przez Turków za główny punkt strategiczny na północnej granicy ich, — było najznakomitszym zwycięstwem w ostatniej kampanji. Nikszitję zdobył sam książę Mikołaj w 1877 r. po czteromiesięcznym oblężeniu.

Widocznym jest, że książę zamierza

przekształcić Nikszitje na miasto stołeczne. Zadatkem przyszłej jego wspólności jest duży piękny kościół św. Wasyla zbudowany na wzgórku za rosyjskie pieniądze a pracą Czarnogórców. Budowla to poważna, nawet surowa w zarysach: inżynier Czarnogórzec ją wznosił i Czarnogórcy rzeźbili fryzy i kapitele świątyni, na ścianach której wewnątrz zawieszono tablice z nazwiskami tych, co polegli w ostatniej wojnie.

U stóp tego samego wzgórka stoi mały kościółek, zabytek z czasów panowania tureckiego; niegdyś musiał się kryć prawie w ziemi, dziś ukazał się na światło dzienne i dostał nową, grubą wieżę.

Zwaliska tureckiej twierdzy, która niegdyś była cierniem w oku Czarnogórcza „wznoszą się jeszcze na wzgórzu, a kilka kamieni z tureckimi napisami oraz parę armat rdzewiejących w trawie, przypominają dawnych panów tego kawałka ziemi.

Jakiegokolwiek będą dalsze losy Czarnogórcza, nie powinno się nigdy zapomnieć o ich bohaterskich walkach z mahometańską nawałą. Meczet nawpół rozwa-

lony i kilkanaście rodzin mahometańskich Albańczyków to jedyne ślady pozostałe w mieście Nikszitje z tureckich zdobywców.

Za miastem ziemia jest dobrze uprawna, a kukurydza, tytoń, proso i kartofle udają się tam doskonale, jeśli nie braknie deszczu. Wogóle całe Czarnogórze potrzebowałoby uregulowania nawodnień, jesienią bowiem i wiosną rzeki i potoki wzbierają, ale dla braku cystern i kanałów, wszystko spływa szybko; w lecie zaś ziemia schnie i pęka, a nieurodzaj trapi kraj cały. W roku 1902 np. nie widziano kropli deszczu od maja do września. tak, że zabrakło tytoniu na wywóz, a co gorzej zboża na żywność dla mieszkańców. Górale zwłaszcza musieli się ratować od głodowej śmierci jedząc trawę, paprocie, korę bukową, a wreszcie państwo zmuszone było pieniądze przeznaczone na drogi itp. roboty użyteczności publicznej, obrócić na zakupno kukurydzy z okolicznych krajów.

Podczas gdy przyszła stolica, to jest Nikszitje wzrasta i podnosi się, stolica

dawna, prastare gniazdo rodu carów Nemanja, który wiódł dawną Serbję po drodze chwały i wielkości, — rozsypuje się w proch w równinie Podgoryckiej. — Od niepamiętnych czasów znane było światu ow● Dukle przezwane później Diokleą przez Rzymian, gdy w pierwszych czasach chrześcijaństwa zdobywali Illirję i przekształcali ją w rzymską prowincję.

Dziś pozostały tylko nieznaczące resztki dawnego miasta w miejscu, gdzie się rzeczka Zeta łączy z Morachą. Gibbon pisze: „Rodzice Dyoklecjana byli niewolnikami w domu Anulinusa, rzymskiego senatora. On też sam nie miał innego nazwiska, jak to, które przybrał od małego miasteczka w Dalmacji, skąd pochodziła matka jego.”

Czy Dukle były tym „małym miasteczkiem”, nie wiem, ale wszystko zdaje się za tym przemawiać.—Może też owej przymieszce krwi pierwotnych mieszkańców kraju, dzielnych Illirów, zawdzięczają Czarnogórcy dzielność i nieustraszonność, którą się odznaczają wobec innych ludów serbskich.

Co do Dukli, jest ona jednym więcej dowodem znikomości świata: niegdyś znaczne miasto rzymskiego imperjum, później stolica starego państwa serbskiego, — dziś garstka rozsypanych szczątków w trawie, nawiedzanej głównie przez żółwie, których staromodne pyszczki wyglądają z pod burej, pomarańczowej skorupy.

Tu i owdzie walają się na murawie kawałki rzeźb, utracone kornisze i kapitele, których kamienny liść akantu opleciony takimże, ale żywym, zielonym liściem. Droga płytami wyłożona ciągnie się na jakie pięćdziesiąt sążni, obsadzona podstawami kolumn w pewnych odstępach; na końcu jej resztki budynku z okrągłą absydą — to pozostałości dawnego forum. — Tuż obok w lichej chatce mieszka jakiś człowiek i uprawia małe poletka wśród ruin tak oplecionych roślinnością, że znikają i nie dają wyobrażenia o planie dawnego miasta.

Przed jakimi dziesięciu laty zajmowali się tym archeologowie, ale i teraz byłoby dużo tu do zrobienia: dotąd wykopują wieśniacy okoliczni stare monety

i ułamki bronzowych wyrobów. Odgrzebano także resztki małej bazyliki, z której powyłamywane kolumny i słupki marmurowych balasek toną w trawie i zaroślach. Płaskorzeźba Djany, dość miernej roboty, leży na ławce między krzewami i patrzy kamiennymi oczyma na prochy dawnej stolicy.

Marmurowe odłamki z forum, rzeźbione kapitele i gzymsy są niewątpliwie rzymskiego pochodzenia, ale stare fundamenty domów, porozrzucane na obszernej przestrzeni, zdają się być resztkami o wiele dawniejszego miasta starożytnych Serbów.

Wokoło tego cmentarzyska wznoszą się góry i strzegą ruin, pamiątek dwóch państw zaginionych, a bystra rzeka opodal z szumem płynie po swym kamiennym korycie; w pustce tej snuje się kilka wychudłych i nędznych postaci wieśniaków, czyniąc smutniejszym jeszcze ten zakątek zamarłej przeszłości.

A jednak i tu kwitła niegdyś nauka i cywilizacja, której zabytkiem była jedna z najstarszych kronik serbskich, spisana przez „Mnicha z Dioklei”.



Miasteczko dziś zapomniane, znajdowało się na mapie Ptolemeuszowej (około 150 A. D.). Jeszcze w 1162 r. wspomniane jest jako słynne miasto, a w 1317 król Milutin przeznaczył je na rezydencję synowi swemu. Odtąd nie znajdujemy prawie wzmianki o Dioklei i nie wiemy nawet kiedy się wyludniła i zaczęła się w proch rozsypywać.

## V. U Najświętszej Paniarki wśród skał.

Ciężka jazda przez szeroką, pustą równinę, — nawałnica nadciągająca od skalistych gór granicy tureckiej, — wokoło nikogo prócz biednej jakiejś Albanki kryjącej się pod krzakami z garstką owiec — zresztą mgła i mgła odgradzająca nas od reszty świata, — tak się jechało smętnym bezdrożem do „małego kościółka między skałami”.

Aż tu nagle słońce rozdarło chmury, stanęło w blasku gorącym, a równina cała utonęła w złocistych oparach; obłoki się rozstały i wokoło nas wynurzy-

ły się błękitne góry, wyniosłe, samotne, jak w dzień stworzenia.

Przed nami wznosiły się dwa kamieniste pagórki, a woźnica stanął i rzekł:

— Musicie panie pójść teraz pieszo, już niedaleko... — i wskazał kamienisty szlak z boku wzgórza.

Kuszyliśmy, przedzierając się między skałami i drzewkami dzikiego granatu, niepewne dalszej drogi, gdy nagle u skrzyżtu znalazła się dobrze wydeptana ścieżka, a przed nami, na wzgórzu zarysowała się wysoka, czarno odziana postać naszego przyjaciela.

— Zobaczyłem powóz na równinie — rzekł wychodząc na nasze spotkanie — i pomyślałem: któżby to był, jeśli nie panie?

I pozdrowiwszy nas serdecznie, wiódł do swojej siedziby.

Nic nie było widać, tylko prosty mur u stoku wzgórza z dużym drewnianym krzyżem na wierzchu i małą chateczkę z kawałkiem uprawnej ziemi, — zresztą jałowe skały i krzewina.

— Mój kościółek — mówił kapłan, wprowadzając nas do otworu w murze—

nie był zbudowany rękami ludzkiemi. Sam Bóg zbudował sobie świątynię między skałami.

Przeżegnał się i weszliśmy.

Gdy zapalił pochodnię i podniósł ją w górę, ujrzałyśmy się w długiej wąskiej jaskini, tu i owdzie przetkanej stalaktytami; w głębi paliły się na ołtarzu świece, rzucając słabe światło na obraz Najświętszej Panny, gdy reszta tonęła w ciemnościach.

— Patrzcie panie, czyż to nie jest prawdziwy kościół? Czyż nie ma kształtu krzyża?

I rzeczywiście na prawo i lewo wyłożone były mniejsze pieczary, tworząc niby transept. Wokoło ołtarza na ścianie wymalowani byli aniołowie i święci, sztywne bizantyjskie postacie, zastosowane tu do twardego otoczenia.

— Gdy się tu pomodłę — mówił ksiądz dalej, — stają mi przed oczami te święte postacie, i maluję je; jak umiem, vous savez!

Podniósł pochodnię i oświetlił dużą głowę Chrystusa.

— To ostatnia moja robota. Już

i farby zabrakło, a ja, prawdę powiedziawszy, nie umiem malować. Robię, jak mi się zdaje, a ludzie lubią to widzieć i rozumieją.

Prowadził nas dalej, do maleńkiego transeptu na lewo.

— Tutaj urządziłem Grób Święty. — Ujrzałyśmy trumnę przykrytą całunem czarnym ze złotem i obraz Chrystusa zmarłego.

— Tu do mnie przychodzą ludzie biedni, znużeni, cierpiący — szukają pociechy. A ja im pokazuję rany na nogach Jego, na boku, i tak ich nauczam, pokrzepiam. Cierpiącym pomagać — to jest religja! A czasami piszę pieśni pobożne albo widzenia, które mi Bóg zsyła, bo na to nam dane światło, abyśmy rozświecali drogę błędzącym w ciemnościach.

I stał przed nami jak natchniony — majestatyczna postać w czarnych szatach; — pochodnia, jak gwiazda przewodnia w ręku jego, a z ołtarza padało żółtawe światło na tę twarz uduchowioną samotnego strażnika na Chrystusowym posterunku.

— Ten kościół Boży zbudowany w pustyni - Jego własnymi rękami,—to moje życie—rzekł i pogasił świece.

Wyszliśmy na świat. Opodal wskazał nam drugą pieczarę, z której wytryskuje źródło czystej wody; gdyby nie to, nie możebnym byłoby żyć w jałowej pustyni.

Chciałyśmy pożegnać świętego pustelnika.

— Za nic! Przybyłyście z tak daleka, aby mię odwiedzić, spocznijcież chwilkę w domu moim! Czy ja kiedy się doczekam takich gości?

Musiałyśmy wywołać szereg wspomnień w duszy jego, bo zaczął mówić, i krótkimi, urywanymi zdaniem snuł historję życia swego, od czasu do czasu żywym ruchem ściągając na piersiach czarną swą szatę. Uczył się w moskiewskim uniwersytecie; stamtąd udał się do Paryża. Żałuje, że nie zwiedził Londynu, ale to się wydawało tak daleko...

— Teraz się zdaje, że blisko było! Ale ja nie mogłem wytrzymać bez gór moich, bez moich biednych Czarnogór-

ców. W wielkich miastach ciągle tylko o nich myślałem. Pragnąłem założyć tu klasztor, ale rodzina moja nie chciała, bym został księdzem. Mój dziadek był bogaty — to, co się u nas w Czarnogórze bogactwem zowie, ale gdym został księdzem, nie dał mi pieniędzy i nie miałem za co wykonać moich planów. Wola Boża! Tu moje miejsce. Podtrzymywać, budzić wiarę w moich biednych Czarnogórcach — to moje zadanie. Czymże jest naród bez wiary? Podróżowałem dużo — wiele smutnych rzeczy widziałem na świecie. Ale w twoim kraju, pani, ludzie wierzą. Inna to wiara niż nasza, aleśmy wszyscy chrześcijanie. I oni nam życzliwi. Niedawno wasz arcybiskup przysłał nam list, bardzośmy się ucieszyli. Zresztą wasz Kościół ma djakonów i biskupów, to rozumiem. Tych szwajcarskich protestantów pojąć nie mogę. To bardzo przykre.

— Savez vous — ciągnął dalej, — ja znam, co to wojna. Byłem żołnierzem w ostatniej wojnie. Przecież my tu

wszyscy żołnierze. Byłem w dolinie nad Zetą — Turcy przyszli...

I patrzył szeroko rozwartemi oczami przed siebie, jak gdyby widział jakąś scenę okropną.

— To straszne, straszne, każda wojna jest straszna — okropna. Niech nas Bóg od niej strzeże! Ale ja wiem — dzień próby zbliża się dla Czarnogórców. Ach, mademoiselle, pani ich zna, oni nieokrzesani, prości, ale tacy poczciwi. Znasz ich przecie — powiedz tam w Anglii, jacy oni dobrzy. Cywilizacja przynosi wiedzę i wiele pięknych rzeczy z sobą, ale czyż ona daje szczęście? Ci biedni ludzie nie mają pojęcia o tamtejszym życiu — na wielkim świecie, a ono zbliża się do nich wielkim krokiem. Ja wiem, co to znaczy, byłem przecież w Paryżu... Jedno, co mogę zrobić, to utrzymywać ich wiarę. Dotąd znali tylko Pana Boga i swoje góry. Garną się tu do mnie po radę, pociechę — biedaki. Czasami dwunastu, piętnastu aż nocuje u mnie. Opowiadają mi swoje kłopoty, ja się pomodłę z niemi...

— Niektórzy — dodał ciszej ze smut-

kiem, — niektórzy źle postępowali sobie—biedaki. Zrana odprawię dla nich Mszę świętą w mojej kapliczce,—i odchodzą pokrzepieni. A w niedzielę dużo ludzi tu się schodzi. Wyjdę przed kapliczkę i mówię do nich, co mi Pan Bóg natchnie. Niewiele człowiekowi trzeba na tej ziemi. Życie nasze krótkie jest.

Mały chłopak, jedyny towarzysz jego w tym pustkowiu wszedł z kawą, którą nam gościnnie podawał nasz gospodarz. Wypytywał o dom nasz, rodzinę.

— Ja byłem żonaty — rzekł i urwał.

Opowiadał nam o czasach, kiedy w Cetynji było zaledwie dwadzieścia domów, kiedy wodzowie zgromadzali się u księcia na radę i wszyscy siedzieli na ziemi w pustej szopie, gdzie przy ognisku piekł się baran na obiad. Księżę zasiadał pod drzewem i sądził więźniów; nie było ani dróg, ani miast, tylko chałupy słomą kryte. To wszystko przed dwudziestu laty! A ci Czarnogórcy! jacy oni skłonni do marzeń, jacy poetyczni w swojej dziecinnej naiwności!

— Uważacie panie, że Czarnogórzec nie rozstaje się ze swoją bronią: musi



zawsze mieć przy sobie strzelbę, nóż, rewolwer, bo mu się zdaje, że broni rodziny i ojczyzny. A kiedy wieczorem wraca do domu, żona mu zdejmuje strzelbę i stawia w kącie — zupełnie jak za dawnych czasów. — Mówią teraz, że będą u nas kolej budować. Któż wie? Ale skąd wziąć takie mnóstwo pieniędzy?

I rzeczywiście w tej samotnej pustelni, zdała od świata całego, można zapomnieć, że istnieje gdziekolwiek kolej żelazna i kompanje akcyjne i tym podobne wymysły nowożytnie...

Gdyśmy wstały, aby się pożegnać, zacny kapłan - pustelnik pobłogosławił nas i odprowadził do bramy.

Spojrzałyśmy na świat, na tę pustą, bagnistą równinę. Zdała, o jakie trzy mile białała nadgraniczna turecka twierdza, zresztą nie było znaku życia dookoła. On odgadł myśli nasze.

— Dzikie to strony, naprawdę i ciężką miałyście podróż. Niewielu cudzoziemców zwiedzało ten kąt. Kiedyś widziałem trzech Anglików, ale kobiet angielskich dotąd nigdy tu nie było. Pusto tu i nawet trochę niebezpiecznie.

Wieczorem, kiedy się ściemni, nie radziłbym nikomu puszczać się na tę równinę, bo trafiają się źli ludzie, co rabują i nawet zabijają. Albania tuż jest niedaleko, więc jest się gdzie ukryć. Ot nawet przeszłej nocy przychodzili zbrojni ludzie—zbliżyli się do mego domku i grozili strzelbami swojemi.

— I cóżeście zrobili, ojcze?—pytamy.

A on na to:

— Wyszedłem i zawołałem do nich: „Nie zabijaj—mówi Pan Bóg”. I odeszli spokojnie—dodał, jak gdyby to było rzeczą zupełnie naturalną.

Jakiż to widok dziwny! Ta postać szanowna, samotna pod niebem gwiazdzistym i ta gromada opryszków, uchodząca na odgłos „słowa Bożego”!

Pożegnałyśmy się raz jeszcze, on stał i patrzył, jak zwolna spuszczałyśmy się ścieżką w dół, a gdyśmy doszły do skrzyżtu, ujrzałyśmy zdala tę wyniosłą ciemną postać, wchodzącą powoli do kapliczki, która mu była życiem i światem całym.

## VI. Antivari.

Niełatwo z Cetynji dostać się do Antivari. Można, co prawda, wrócić do Cattaro, a stamtąd puścić się parostatkami, lecz kiedy się już raz jest w Czarnogórze, lepiej wybrać drogę lądową.

Gdy pierwszy raz przedsiębrałam tę podróż, nie znałam jeszcze języka i każdy mię namawiał, aby wziąć tłumacza, albo wcale nie jechać. Ja jednak nie lubię zwiedzać z przewodnikiem, a co do języka, to przecież wszędzie zrozumieją, że podróżny potrzebuje jeść, pić i spać. Upewniłyśmy się tylko zawczasu, że w Prstanie (port do Antivari) jest gospoda z trzema „łózkami” i z hotelu zatelegrafowałyśmy o przygotowanie paru koni w Virbazarze; poczym wyruszyłyśmy raniutko parowcem z Rijeky. W Virbazarze trzeba było wpakować się do łodzi napchanej ludźmi i pakunkami i wlec się powoli do przystani.

Dziwna rzecz, jak Czarnogórcy ani Albańczycy nie umieją kierować swojemi własnymi łodziami: biją po prostu wodę drewnianemi łopatami z wielkim wy-

siłkiem a małym skutkiem, ale jakoś się tam posuwają.—Byłyśmy bardzo niespokojne, czy znajdziemy zamówione konie, ale szczęściem dostrzegłyśmy już zdaleka parę tęgich rumaków na brzegu.

Virbazar to niewielka wioska na wyspie śród rzeki; nie przedstawia nic osobliwego z wyjątkiem mostu, przeznaczonego dla pieszych.

W każdym razie trudno byłoby jeździć po nim, albowiem pośrodku zmienia nagle architekturę. Cały jest z kamienia, ale z początku zupełnie porządkowy na wyniosłych arkadach oparty, nagle się zwęża i zniża poziom. Nie wiem, czy to dwaj nieprzyjaźni sobie architekci zaczęli go z dwóch przeciwnych końców, czy może druga połowa jest „restauracją” pierwszej, — dość, że taki dziwny most został.

Przeszłyśmy bez wypadku i podążałyśmy do koni, w towarzystwie zgrai przyglądających się nam ludzi, którzy jednak zaczęli protestować energicznie, gdyśmy się zbliżyły do uwiązanych rumaków. Wreszcie zdecydowano się sprowadzić chłopaka od koni, smagłego, mo-

że dwudziestoletniego parobka, który, wyjąwszy z zanadru nasz telegram, odrazu wyjaśnił niepewną sytuację i doprowadził wierzchowce do drogi.

W Czarnogórze trzeba jeździć po męsku, bo najprzód trudno o siodła damskie, a potem jest bezpieczniej w ten sposób przebywać strome i urwiste ścieżki górskie. — Istnieje wprawdzie dobra droga wozowa do Antivari, ale cóż, kiedy niema powozów, a jedyny dyliżans tam kursujący jeździ tylko raz na tydzień i rzadko się zgadza ze statkiem.

Ścieżka górską jest znacznie krótsza, ale tak urwista, że większą część jej wypada przebyć pieszo. Droga wije się po dolinie Crumickiej, żyznej i zielonej, z winnicami, tytuniem i kukurydzą, a regle lasem zarosłe. Ze szczytu przełęczą widok prześliczny. Wogóle widoki takie mają szczególny urok, bo nagle rozwija się przed oczami jakiś daleki, nieznany kraj, nęcący, jak wszystko, co nieznanne.

Na Crumickim wzgórzu tkwią ruiny twierdzy tureckiej, a przed dwudziestu pięciu laty ziemia ta należała do Tur-

ków. Stąd też pochodzi nasz chłopak, Albańczyk mahometanin. Był w wybornym humorze: mówił ciągle i śmiał się do rozpuku, gdyśmy go nie rozumiaily; a kiedyśmy się zapuścili w skalistą ścieżkę między krzaki i zarośla, uraczył nas wymowną pantomimą, naśladowającą ścinanie głów i strącanie ludzi ze skał. Szkoda, żeśmy nie umiały jego języka, taka bowiem powieść na tle otaczających nas dekoracji nabrałaby wyrazistości i charakteru.

Daleko poniżej, za stokami zarosłemi srebrzystą oliwką i za żyzną doliną błyszczał szafirowy Adrjatyk, a droga wiodła do gromadki chat rozsypanych na brzegu przystani. „Prstan”, zawołał chłopak, i zdawało się, że to już bardzo blisko, ale trzeba było jeszcze dość długo zakreślać różne gzygzaki i dopiero o zmierzchu stanęliśmy na wybrzeżu morskim.

Obóz cygański, poczta, z pół tuzina odrapanych chat, zatoka wielkości chustki do nosa mniej więcej, domek letni księcia i puste wybrzeże, o które z szumem rozbijała się fala, — oto cały

Prstan.—W najmniejszej z chatek znajdowała się gospoda „z trzema łózkami”. Otóż wszystkie te trzy łóżka mieściły się w jednym pokoju, który także służył za jadalnię. — Nie tak, jak w hotelach polecanych przez Baedekera, ale czysto tu było i jedzenie doskonałe, a gosposia nasza Marja Bulatowicz mówi językiem włoskim.

Wstałyśmy raniutko. Miejscowa kawiarnia, czyli paka drewniana postawiona na boku, a w niej Albańczyk, — budziła się do życia; w cygańskim obozie zaczynało się ruszać, a my wyjechałyśmy do Antivari, odległego o trzy mile (angielskie). Droga pnie się i kręci między wspaniałymi drzewami oliwkowymi, podobnymi do pokręconych i powykrzywianych dziwacznie cielsk olbrzymów; na skrócie nagle ukazuje się Antivari.

Widok to przejmujący. Na skalistym wzniesieniu, w jarze sterczą groźne resztki miasta tureckiego, więc mury, wały, domy bez dachów i porozwalane świątynie, — wszystko jak zostało po wojnie, niby szary szkielet wietrzejący

na dżdżu i spiekocie, jak zwłoki wi-sielca.

Szłyśmy w górę po stromej ulicy te-raźniejszego bazaru, okolonego drewnia-nemi sklepikami i pełnego wesołych Albańczyków, — aż do wielkiej bramy starego miasta. Strażnik stoi tam za-wsze, ale usłyszawszy magiczne słowo „Engleske”, przepuścił nas z uśmiechem.

Smutne to zamarłe miasto, zarosłe dzikim winem i chwastami, które rozsa-dzają mury i wieńczą resztki bram i sklepień. Gaj figowy i śliwkowy roz-rasta się po izbach i podwórkach, a tu i owdzie drzewo śmiało zapuszcza ko-rzenie w mur obwodowy, stromo odcinający się nad doliną zieleniejącą po-niżej.

Na ulicach zrujnowanego grodu wa-lają się jeszcze odłamki granatów; tra-wa wyrasta aż do kolan, a z pod zieleni wysterka to rzeźbiony kamień, to pię-kna sztukaterja, pamiątki weneckiego tu panowania; na ścianach kościelnych majaczeję ślady fresków obok wspania-łych okien rozsypujących się w gruzy. Wszędzie roślinność się krzewi, „zaj-



mując dzieło ludzkie w imię przyrodzenia...” Błądziłyśmy po tych ruinach, mimo błękitu nieba i promieni słonecznych, doznając wrażenia, że wszystko to jest jakieś urojone, nie rzeczywiste.

Antivari padło 1878 r., po długim oblężeniu: Turcy walczyli dzielnie, a zmuszeni do poddania się, rzucili lont do prochowni i ksiązę Nikoła ledwie uszedł z życiem, a gród zniszczony został niepowrotnie.

I dziś jeszcze ma się to wrażenie, że Antivari, chociaż naznaczone na mapie, nie istnieje wcale, trudno bowiem nazwać miastem tę garść rozsypanych tu i owdzie domów.

A jednak nieliczna ludność mówi trzema językami — tureckim, serbskim i albańskim, wyznaje trzy religje: rzymsko-katolicką, prawosławną i mahomekańską, i posiada osobnego arcybiskupa rzymsko-katolickiego. Biskupstwo to bardzo stare, przeniesione tu zostało z Dioklei w X wieku.

Antivari podlegało Wenecji do 1479 roku i wówczas parafja musiała być liczną; teraz pozostało 600 dusz zaledwie

wszystko Albańczycy, tak przynajmniej oni mówią.

Ale bo też tu każdy mahometanin twierdzi, że jest Turkiem, każdy prawosławny mieni się być Czarnogórcem, każdy katolik — Albańczykiem; a z trzech ludzi zupełnie do siebie podobnych z rysów, budowy i charakteru fizjognomji — każdy utrzymuje, że jest odrębnej od tamtych narodowości. Może to zresztą mieszanina trzech ras? Większość mieszkańców są to mahometanie, ludność rzadka i trapiąca febrą.

Niżej na równinie znajdują się ruiny konaku dawnego paszy tureckiego Selim Bega, tyrana, który się wraził w pamięć ludności; chrześcijanie zwłaszcza podlegali jego tyranji. Z pomiędzy męczarni, które im zadawał, wspominają człowieka, któremu wymierzono tysiąc uderzeń w podeszwy.

Po zdobyciu Antivari przez powstańców, Selim Beg uciekł nieprzytomny ze strachu i szukał schronienia, a losy tak zrzędziły, że trafił przypadkiem do chaty tego samego biedaka, któremu zadawał męczarnie przed laty. Poznawszy

swoją ofiarę zaczął błagać o litość, a człowiek pokrzywdzony, zamiast się mścić, padł na kolana przed krucyfiksem i składał dzięki Zbawicielowi, że zesłał takie upokorzenie na wroga jego. „A ty przedsię swemi oczyma ujrzysz pomstę nad grzesznemi...” Nikczemny Turek starał się potym napróżno pozyskać łaski księcia Mikoły; odepchnięty od wszystkich, schronił się na wyspę Korfu, gdzie umarł „podobny zwierzęciu”, jak się wyraził ten, który mi tę historję opowiadał.

Wypadek ten rzuca światło na charakter Albańczyka i święte prawo gościnności u ludów tych panujące.

Powróciłyśmy do Prstanu i na szczęście znalazłyśmy w gospodzie Marji Bulatowicz schronienie przed burzą i ulewą, uniemożliwiającą nam projektowane na ten dzień wycieczki.

Siedziałyśmy prawie w ciemności, bo nawałnica zalewała okna, czasami tylko błyskawica rozdarła czarne chmury, gdy nagle zapukano do drzwi. Odsunęłam z trudnością żelazne rygle i na progu stanął stary wysoki Czarnogórzec, któ-

rego koń zmocony i spory tłumoczek świadczyły, że zamierza tu nocować. — Przeraził się na nasz widok, a i ja z trwożą pomyślałam o trzecim łóżku w gospodzie. Szczęściem, poczciwa Marja ustąpiła mu swego pokoju, a sama przeniosła się do kuchni, traktując z wielką atencją nowego gościa, który, jak się okazało, był krewnym samego księcia.

Wesoły obiad miałyśmy dnia tego, bo się zjawił malutki wice-konsul austriacki, Węgier rodem; a ogromny Czarnogórzec wystroił się wspaniale, mając iść do książęcego pałacu tegoż wieczora. Był to piękny, smukły mężczyzna o poczciwej twarzy i wykwintnym obejściu; okazywał nam największą uprzejmość i troskliwość o nasz dobrobyt. Opowiedział (za pomocą Węgra, który służył za tłumacza), że już w roku 1865 spotkał był dwie Angielki. Dziwił się wielkiej naszej podróży i odwadze.

— W Czarnogórzcu przynajmniej bezpiecznie, ale tyle innych krajów przejechać! Słyszał, że Angolicy lubią wszystko zwiedzać; to musi być kosztowne upodobanie! Pewnie nas kosztowało

z jakie sto florenów (około 8 funtów sterlingów)?

Przyznałyśmy, że nawet trochę więcej, co go w zdumienie wprowadziło.

— Zabiera to nietylko pieniądze, ale i czas — rzekła moja towarzyszka.

Rozśmiał się wesoło:

— Czas! cóż to czas? Nic nie znaczy!

Na co Węgier z wyższością zauważył, że Anglicy czas cenią wielce, i podobno mają przysłowie: „Czas to pieniądz”. Gdyśmy to potwierdziły, Węgier nawet pokiwał głową, a Czarnogórzec, to ledwie mógł wierzyć i aż oczy mu się śmiały, tak był ubawiony.

Dotąd go widzę, jak stanął przed nami żegnając się: okazała postać — w kurcie zielonej haftowanej, w karmazynowej ze złotem kamizoli, granatowych spodniach, białych kamaszach i nowych sandałach; trochę przygarbiony wiekiem, kłaniał się z wyszukaną grzecznością i powagą — wspaniały typ Czarnogórca starej daty. Zdawało mi się, że go gdzieś, kiedyś widziała i znała.

Tak, to któryś z bohaterów romanów średniowiecznych i ballad; — po-

dobnie, jak oni, „walczył z pohańcem”, kruszył kopję za honor i wolność... A tymczasem mój rycerz pod białym płóciennym parasolem dążył do książęcego pałacu.

Pogoda ani myślała się poprawiać i już tym razem nie obejrzałyśmy Antivari. Ulewny deszcz z gwałtownym wiatrem bił o szyby chaty naszej, a żaby w poblizkiej sadzawce darły się, zagłuszając burzę swoim „brek-ke-kek-sowaniem”. Nie było co robić—wzięłyśmy miejsca w dyliżansie odchodzącym do Virbazaru, a za towarzysza podróży miałyśmy naszego znajomego z gospody. Uparł się, żeby siedzieć na małej przedniej ławeczce i w dodatku za każdym naszym ruchem przeproszał za niewygodę, jaką nam sprawia. Aby to wynagrodzić, bawił nas całą drogę rozmową, chociaż mu włoszczyzna z wielką przychodziła trudnością. Brał on udział w oblężeniu Antivari.

— Okropne to było — mówił, — całe tygodnie, i to w zimie! A Turcy do brze się biją!

Potym wskazując widniejącą poprzez mgły rzekę, dodał ze smutkiem:

— Austryjacka granica — austryjaczka! A my za tę ziemię krew przelewali — i naszą ona była. Zabrali od nas, — dali Austrii. Nie rozumiem!

Zdaje się, że poczciwy Czarnogórzec wielu rzeczy nie rozumiał w świecie terazniejszym. Rosja była dlań Opatrznością, która zdali czuwała nad wykonaniem sprawiedliwości, ale zresztą arkania i zawilości międzynarodowej polityki obce były zupełnie jego prostemu, sumiennemu umysłowi.

Jechałyśmy przez wieś.

— To wszystko Mahometanie — rzekł — oto ich meczet. Wybudowaliśmy im też piękną szkołę, ale cóż? Kiedy nie chcą do niej chodzić, nie dbają o wykształcenie — dziwni ludzie!

Dla niego szkoła wiejska była dobrodziejstwem — dobro i światło miało z niej płynąć. O błogosławione złudzenie! Wydało mi się, że Czarnogórzec młodszy ode mnie nieskończenie, chociaż pewno ze dwa razy tyle lat liczył, co ja.

Przejeżdżałyśmy znów mimo szkoły,

a na placyku uwijała się gromada małych Czarnogórców, bo wreszcie wyjrzało słońce. Towarzysz nasz patrzył na nich z radosnym uśmiechem; a ja pomyślałam, że starzec nie dożyje zapewne chwili, kiedy się rozsypią jeszcze w nicość marzenia jego o wykształconych i ucywilizowanych Czarnogórcach. Wkrótce pożegnał nas i zniknął w małym domku pod górą.

Niebawem i my znalazłyśmy się w Virbazarze, sprawiając znów wielkie wrażenie na ludności miejscowej. Za pomocą jakiegoś człowieczka, mówiącego po niemiecku, wytłómaczyli nam, że wprawdzie możemy bez kosztu dostać się wielką łodzią do okrętu, ale daleko byłoby lepiej wziąć za florena osobną łódkę. Nie chcąc zmartwić odmową tych biedaków, zgodziłyśmy się na osobne czółno, co prawda, niezbyt obiecujące z pozoru, ale ustawiono w nim dwa plecione krzeselka i dwóch roslących chłopaków z pomocą trzeciego wyrostka wprowadziło nas tryumfalnie na łódkę.

Z początku płynęliśmy wolno i spo-



kojnie; w tym dała się słyszeć gwizdawka okrętowa i nasza załoga tknięta zapalem rzuciła się gwałtownie do wiosła.

— Trzeba mieć wielką ufność do tych Czarnogórców, żeby się czuć bezpieczną... — zaczęła moja przyjaciółka, ale nie zdołała jeszcze skończyć, gdy nagle targnięcie czołnem wyrzuciło ją w powietrze, jak z katapulty, — z krzesłem i ze wszystkim. Nim się opamiętałam, wionęły szare spódniczki—plusk i - już po niej.

— No, szczęściem, umie pływać—pomyślałam, lecz w sekundę później musiałam się rzucić w przeciwną stronę, bo obaj wioślarze, wystraszeni, tak się wychylili jednym bokiem czołna, że je prawie przewrócili,—ale widząc jak angielska pani pływa, odzyskali przytomność i zaczęli ją ratować. W dziwny sposób, jednak dokonywali tego, łapiąc w garście, co popadło; wreszcie wciągnęli ją, zdaje mi się, za nogę do łódki, a miły mieli tak pociesznie przerażone, gdy stanęła cała zmoczona i ociekająca, żeśmy obie wybuchnęły niepohamowanym śmiechem. To ich nieco uspokoi.

ło, ale chcąc się przysłużyć, jak zaczęli wyciskać i wyzymać jej ubranie, myślałam, że duszę z niej wycisną; potym wylowili kapelusze i krzesła i zaczęli pokornie wiosłować w stronę statku. Gdyśmy płaciły umówionego florena, nie chcieli za nic przyjąć go i wreszcie obсыпали nas dziękczynieniami.

Kapitan statku, dowiedziawszy się o naszej przygodzie, brał się za boki od śmiechu, potym oddał na nasze usługi jedyną kajutę i duży szaflik. Zaimprovizowałyśmy wspaniały kostjum z dwóch szlafroczków i płaszcz nieprzemakalnego, nalałyśmy sporo oliwy do zegarka, a wódki w jego właścicielkę, i nic się złego nie stało, chociaż deszcz lał jeszcze przez całą drogę aż do Cetynji.

Epizod ten przeszedł w legendę okoliczną i sama słyszałam we dwa lata później, jak młody Albańczyk opowiadał ją zgromadzonemu towarzystwu. Najbardziej uderzającym faktem miała w tym być zimna krew Anglików, której dowodem był cyniczny śmiech, z jakim jedna z pań (niby ja!) przyjęła wypadek drugiej.

## VII. Albanja Północna.

Trudność rozwikłania t. zw. „kwestji wschodniej” leży w tym, że to jest właściwie nie jedna, ale cały szereg kwestji, przeszkadzających sobie nawzajem. Jedną z najkłopotliwszych jest, rzecz można, kwestja albańska. Ci, którzy sami nie byli w Albanji, uwierzą z trudnością, że w Europie istnieje lud w stanie cywilizacji średniowiecznej, pozbawiony wszelkich udogodnień życia; na przykład niema tam wcale dróg wozowych, a nawet ścieżki są takie, iż trudno po nich konno przejechać.

Kiedy Albańczycy przybyli do Europy, niewiadomo, jak też nie rozstrzygnięto kwestji krewieństwa ich z innymi ludami półwyspu; to pewna jednak, że pochodzą w prostej linii od dzikiego plemienia, zamieszkującego Bałkany jeszcze przed przyjściem Greków i Rzymian.

Historja nadaje im rozmaite nazwy — Traków, Macedonów, Illirów, według okolicy, którą zamieszkiwali. Oni też

dostarczali Rzymowi dzielnych żołnierzy, niekiedy dowódców, a nawet imperatorów, jak Djoklecjan, Konstantyn Wielki. Państwa rozmaite powstawały i upadały kolejno, a Albańczycy pozostali, czym byli.

Po upadku Rzymu nastąpiło panowanie Serbów, Wenecjan i Muzułmanów. Albańczycy zaś, „anektowani”, ale nie podbici, chronili się w niedostępne górskie wąwozy; lecz nie ulegali.

Tak i dziś jeszcze są niby pod panowaniem tureckim, ale tylko nominalnie. Turcy posiadają, podobno, różne cenne przymioty, ale to pewna, że nie dbają wcale o cywilizowanie podległych sobie ziem i ludów. Więc i Albańczycy pozostali czym byli przed wieki, a chociaż walczą teraz rewolwerem i dubeltówką nowego systemu, są zawsze przeżytkami przeszłości dawno zaginionej i zapomnianej przez resztę Europy. Język ich nawet nie daje się wciągnąć do żadnej grupy systematycznej: łagodny w brzmieniu, ma mnóstwo podwójnych szsz i innych dźwięków nie dających się wyrazić żadnym znanym alfabetem.

Próbowano kilku rozmaitych, ale bez wielkiego skutku; jeden nawet, z łacińskimi literami, obficie zaopatrzonemi w akcenty z góry i z dołu, używany jest w Północnej Albanji, ale Turcy nie dopuszczają go do szkoły; Albania więc jest krajem bez literatury, bez historii, bez czasopism. Jednym słowem, w XX wieku istnieje w Europie lud, rzecz można, bez języka piśmiennego.

Pomimo swej starożytności są Albańcy bardzo młodemi co do pojęć i wyobrażeń o reszcie świata. Wcześniej bardzo, bo podobno w IV wieku przyjęli chrześcijaństwo, niewiadomo skąd, a później, gdy inne ludy bałkańskie uczepiły się Wschodniego kościoła, Albańczycy północni pozostali wierni katolicyzmowi.

Góry albańskie, tak jak i czarnogórskie są szeregiem niezdoitych twierdz, gdzie małe wojsko musi być wymordowane, a większe umarłoby z głodu. — Górale, niezmiernie bitni i odważni, nie przedstawiali jednak takiego niebezpieczeństwa dla Turków, jak np. Czarnogórcy, nie zdobyli się bowiem nigdy na

wodza znakomitszego, mogącego ich zgromadzić i poprowadzić do boju. W dodatku, z powodu różnicy religji nie łączyli się z innemi chrześcijańskimi plemionami. Raz jeden blizcy byli otrzymania odrębnej narodowej egzystencji, a to za Skander Bega. Ale ten zmarł w 1467 r., a odtąd nie zjawił się żaden jemu podobny.

Turcy okupują sobie spokój od Albańczyków, zostawiając im prawie zupełną swobodę w górach rodzinnych; ci zaś wyplacają się Turcji, dostarczając wybornych żołnierzy do armji sułtana, jak niegdyś dostarczali Rzymowi.

Dotychczas Albańcy tworzą wiele oddzielnych plemion, rządzonych przez własnych wodzów i prawo ustne. przechodzące z ojca na syna. Rząd turecki mało tu ma do czynienia, bo jeśli nawet się zdobędzie na jaki nakaz, to nie zdoła go wykonać.

Albańczycy nie są uczeni, ale wcale nie głupi. Pragnąc przedewszystkim zachować swą odrębność, umieli sobie poradzić: w górach pozostali katolikami; na równinach, które zajęli po Serbach,

przyjęli mahometanizm; ale zarówno jedni, jak i drudzy występowali społem przeciwko ludom wyznającym obrządek wschodni. Umieli stać się niezbędnymi dla Turków, zasilając ich wojsko zastępami nieustraszonych a okrutnych żołnierzy, a wzamian otrzymali swobodę życia w dzikości, zdała od wszelkich nabytków cywilizacji nowożytnej. Opłakany pod tym względem stan Albanji gorzej jeszcze świadczy przeciw „życzliwym” im Turkom, aniżeli srogie rządy tychże w buntującej się Macedonji.

Jedyne szkoły, jakie się w Albanji spotyka, prowadzone są przez zakonników włoskich i austryjackich (między temi ostatniemi są, naturalnie, Polacy), którzy zwalczać muszą przesady i prastare zabobony, krzewiące się między tym ludem bitnym a zdziczałym. Straszne tu są walki i nienawiści dziedziczne, zemsty nieubłagane a krwawe. Życie człowieka mniej bywa cenione, niż gdzieinżziej psa lub kota.

Fizycznie Albańczyk przypomina drapieżnego zwierza: szczupły, giętki, muskularny, posuwa się długiemi, cichemi

kroki, obuty w miękkie skórzane sandały, doskonale do wspinania się po skałach. Ciężko uzbrojony wygląda jak gdyby ciągle czatował na wroga; ten właśnie wzrok jego badawczy, przenikliwy jest niezmiernie charakterystyczny. Spotykałam Albańczyka na targach czarnogórskich, w bazarze jego własnej stolicy, na ścieżkach górskich, podobnych raczej do łożysk wyschłych potoków, a wszędzie kroczy szybko i cicho, oglądając się podejrzliwie wkoło.

Obcisłe ubranie nóg i mała czarna czapeczka nadają mu pozór średnio-wieczny, jak gdyby wyskoczył ze starego, florenckiego fresku. Za pasem nosi pełno srebrem nabijanej broni, pokręca wąsa i jest przejęty admiracją sam dla siebie. A jednocześnie pasiaste materjały, w które się odziewa, zdobne czarnym haftem, dziwnie przypominają skórę tygrysa, zebry albo złośliwych żmij lub owadów; ciemna ich barwa zlewa się z tłem skalistym i rudemi głazami otoczenia.

Czarny ten, wzorzysty haft zmienia się stosownie do rodu, którego człon-



kiem jest Albańczyk. Zwykle nazwę rodową dodaje on do swego własnego nazwiska, np. jest on ten i ten z „Hottich” lub z „Szozich”; przytym wskazuje ręką w stronę, gdzie się znajduje jego miejsce rodzinne. Większa część mężczyzn ma głowę goloną: jedni tylko przy skroniach, a reszta włosów sterczy krzaczasto do góry, inni całkowicie, z pozostawieniem długiego, aż na plecy spadającego kosmyka. Dwa są różne typy Albańców: ciemny, o czarnych włosach, oczach ciemnych i ostro wyciętych rysach twarzy; lub jasny, z oczami szaremi lub niebieskimi, wyższego wzrostu i potężniejszej budowy ciała. Do tego ostatniego należą przeważnie mężczyźni z długim kosmykiem, a gdy kucną szeregiem na piętach, wyglądają niby gromada sępów. Według podania miejscowego, kosmyk włosów służy do trzymania za głowę po ucięciu jej; można ją także podobno nieść za ucho lub włożywszy swój palec w jej usta.

Pomimo jednak tych rozmaitych podobieństw z dzikim zwierzem, Albańczyk złym nie jest i nawet posiada pew-

ne szlachetne instynkty. Sam chlubi się tym, że nigdy nie zdradził przyjaciela, ale też nie darował nieprzyjacielowi. Prawda, że do tego „nie darowania” liczą się tortury i tym podobne okropności: nie sądźmy jednak, by ludy bałkańskie były wyjątkowo w tym względzie okrutne. Przypomnijmy sobie że, temu lat sto czy półtorasta, wszystkie narody europejskie, nie wyłączając naszego, uważały za rzecz godziwą karanie niewielkich, stosunkowo, przestępstw, zadawaniem mąk okropnych.

Przyznam się, że, moim zdaniem, Albańczyk nie jest okrutnym z natury. Nigdy, na przykład, nie widziałam go dręczącego „dla żartu” jakiegokolwiek słabe lub niedołężne zwierzę, jak to czynią z upodobaniem, dajmy na to Neapolitańczycy, Hiszpanie czy Prowansale. Ja sama ufałam Albańczykom, nierozsądnie, jak twierdzą niektórzy; dawałam im nieraz sposobność obrabowania mnie i ukręcenia mi szyi, a jednak nie tylko mnie nie spotkało nic podobnego, ale doświadczałam od nich uczciwości i uprzejmości prawdziwej. Albańczyk

jest dzielny i sprytny. Jeśli ma po temu sposobność, uczy się obcych języków szybko i z łatwością, a gdy mu wypadnie opuścić kraj rodzinny, umie sobie radzić i nawet okazuje częstokroć zadziwiającą zdolność do interesów.

Albańczyk miejski różni się ogromnie od swego rodaka z gór i jest dziwnie dziecinny w swoich na świat zapatrywaniach, na dowód czego przytoczę jedną moją rozmowę. Szlam sobie popołudniu w lecie 1902 r. stromą ulicą bazarową w Antivari, a kupcy stali we drzwiach sklepów rozglądając się. Jeden z nich, wysoki, jasnowłosy, o szarych oczach, zbliżył się do mnie grzecznie i używając mieszaniny serbskiego z włoskim, poprosił, bym zaszła do jego sklepu.

— Nigdy jeszcze nie spotkałem kobiety cudzoziemki — rzekł — proszę ze mną trochę pomówić.

Kiedyśmy weszli, podał mi jakąś skrzynkę do siedzenia, sam przykucnął na ziemi, kazał podać kawę i zagaił rozmowę. Zdumiony był na wieść, że jestem Angielką, pokazał mi motek bawełny z angielskim napisem i okazało się,

że nie ma dokładnego wyobrażenia, co właściwie jest ta Anglja. Co innego Włochy i Austria; te mogą mieć rozmaite projekty na Albanję; Rosja zaś jest potężna, ale wielce podejrzana!

— Więc pani z tak daleka przyjechała, żeby nas widzieć! — zawołał — to szczególne! Ja jestem Albańczyk, katolik — i przeżegnał się zamasyście, żeby mię przekonać. Ale szkoda, że pani nie zna Skodry!

— I owszem, znam.

Zaczęliśmy więc unosić się nad wspaniałością miasta tego i sklepów.

— Cóż z tego, kiedy tam Turcy panują, te djabły! Przed ośmnastu laty przybyłem z ojcem tutaj, bo to wolny kraj. Bezpiecznie tu, ale ubogo. Kiedyś był chłopcem, chodziłem do szkoły, do Braci, ale się nie chciałem uczyć, i ot co! teraz nic nie umiem, nawet po włosku źle mówię.

I kiwał się zasmucony nad swoją księgą rachunkową.

Chcąc go trochę pocieszyć, opowiedziałam, jak tam w Skodrze ludzie byli dobrzy dla mnie.

Rozpogodził się:

— Czemuż pani stamtąd wyjechała?

— Mówiono mi, że niebezpiecznie tam teraz — niespokojne czasy.

Zastanowił się chwilę.

— Nie, pani. U nas ludzie dobrzy są dla kobiet. Niema porządku, więc źli robią, co chcą, ale źli — to Turcy. Możeby tam panią obrabowali z pieniędzy, ale zabić? nigdy! Do kobiety się nie strzela, bo to nieuczciwie. Co innego do mężczyzny! Musisz strzelić do niego, bo, jak nie, to on do ciebie strzeli. Zresztą, jakże inaczej zabrać mu pieniądze?

Musiałam potwierdzić to wszystko.

— Co za bieda, że nie mamy rządu — mówił dalej; — gdybyśmy to mieli swego króla!

— A czy sądzicie, że będzie kiedyś?

Zaśmiał się cicho. — Wtedy właśnie chodziły pogłoski o jakimś potomku Skanderbega, który się gotował wylądować w Albanji. Widać jednak, że nie bardzo go zachęciły miejscowe stosunki, bo się nie śpieszył porzucić włoskie „palazze”, w których dotychczas przebywał. Zresztą, mój przyjaciel nie miał o tym jasnego wyobrażenia: „Śmierć

Turkom i król w Albanji!” to było jego pragnieniem; jak i skąd? nie wiedział.

Pogadawszy trochę, chciałam się pożegnać, ale mię za nic nie puścił.

— Ubogi jestem, coprawda, ale mię stać na dwa kubki kawy dla gościa, co z tak daleka do nas przyjechał. Może pani kiedyś spotka kogo ze Skodry; proszę go dobrze przyjąć, bo ten lud był dla was życzliwy...

Człowiek ten z ujmującym wdziękiem robił honory domu gościowi, zapraszał, podejmował, jak mógł, uważał się za chrześcijanina, a jednak nic nie widział karygodnego w morderstwie i rabunku, bo „taki zwyczaj”.

Kiedyśmy sobie podali rękę na pożegnanie, powtarzał:

— Niech tam pani w Londynie nie zapomina o Skodrze. Ja już was nigdy nie zobaczę—nikad, nikad!

Słońce właśnie zachodziło smutnie, za chmury, i mnie jakiś smętek owładnął, kiedy Albańczyk powtarzał „nikad, nikad” (nigdy).

Po miastach, gdzie rozkwaterowano tureckie wojska i urzędników mahome-

tan, chrześcijanie są w mniejszości i źle im się dzieje; zato w górach gospodarzą po swojemu. Główniejsze rody czy pokolenia Albańskie są: Hotti przy granicy czarnogórskiej, dalej ku Skodrze Szoszi, Szialla i Skreli; w górach między Driną a wybrzeżem, Mirdici. są oni z plemion najbardziej niepodległych a chrześcijańskiej religii. Wyznanie to jednak nie staje się przyczyną waśni: chrześcijanin czy mahometanin, byle Albańczyk, trzymają się z sobą. Gdy potrzeba, milkną spory dziedziczne, rodowe: wobec wspólnego wroga zawiera się „bessa” (zawieszenie broni) i wszyscy idą nań społem.

Turcy nie umieją sobie dawać rady z Albańczykami ale i zachodnio europejskim reformatorom nie lepiej się dzieje. Za mojej tam bytności, nagrywali się z nich zarówno Serbowie, jak Czarnogórcy i Albańczycy. Później gorzej było jeszcze, czego dowodem zamordowanie konsula rosyjskiego Szczerbiny. Turcy na wezwanie Rosji próbowali zaprowadzić porządek, ale jak zwykle, nie udało im się, a dwaj urzęd-

nicy z ramienia tureckiego przysłani, Izaak i Jakób (jeden Żyd, drugi Armeńczyk) zostali w biały dzień zastrzeleni na ulicy w Skodrze.

Niewiadomo na czym się to wszystko skończy, ale słyszałam od kilku rozumnych Serbów zdanie, że dla Albańczyków byłoby daleko lepiej, gdyby uzyskali niezawisłość; teraz bowiem Turcy podburzają ich do różnych wybryków i umywają sobie ręce od wszystkiego; zostawieni zaś własnej odpowiedzialności, Albańcy wyrobiliby się, rozwijając wrodzone zdolności i zalety. A mają ich niemało. Czy jednak nie zawczasie dla nich na otrzymanie samorządu, to inna kwestja. Oni przecież nie mieli, jak inne ludy Bałkanu, swego państwa ongi, w przeszłości, nie mają więc świetnych tradycji i wspomnień, któreby przyświecały teraźniejszości.

### VIII. Skodra i Dulcigno.

Skodra, stolica północnej Albanji, na mapach jest zwykle oznaczana mia-



nem Skutari, wskutek czego łatwo ją pomieszać z miastem Skutari nad Bosforem. Dostać się tam można z portu San Giovanni di Medua, bardzo złą drogą konno, w dziewięć godzin, albo też wodą po rzece Bojanie z innej strony. Ale najpiękniejsza jest podróż z Cetynji po jeziorze, do którego nas doprowadza rzeka z Rijeki, wijąca się wolno między wzgórzami, zarosła mnóstwem białych i żółtych nenufarów i rozmaitych szuwarów, wśród których żerują chmary ptactwa wodnego: kurki, kaczki, pelikany, czaple i t. p. Przy ujściu rzeki do jeziora stoją chaty rybaków, poławiających małe „scoranze” (dostające się z morza do jeziora), które po wysuszeniu i osoleniu stanowią ważny artykuł eksportowy.

Mijamy wyspę Vraninę i żeglujemy po zielonkawych wodach jeziora: za nami wzgórze Czarnogórskie, a przed nami w dali czerwienieją góry Albańskie. Zabrawszy pasażerów w Sławniccy i Virbazarze, przegowanych a przyjacielskich, jak zwykle, pomimo groźnej broni sterczącej z za pasa, przyjrząwszy

się kobietom i dzieciom, — prujemy dalej fale jeziora, u kresu którego widnieje statek turecki z czerwoną flagą i półksiężycem, a na wzgórzu nadbrzeżnym twierdza nawpół zrujnowana. Pełno łódek różnego kalibru roi się w przystani, a brudny tłum ciśnie się po schodach celnej komory, gdzie konfiskują wszelkie książki, a zamiast paszportu biorą receptę, rachunek ze sklepu lub inny jaki papier, byle w obcym języku i zaopatrzony w jakąkolwiek pieczęć.

Teraz Czarnogórze wydaje się nam szczytem cywilizacji i tę za sobą pozostawiamy. Młody Pers wizujący paszporty zapytał wprawdzie o nazwiska nasze, ale musiał takowe przepisywać mozolnie, po literze, z naszych kart wizytowych. Po wyjściu z komory, dostałyśmy się za pomocą bosego chłopaczka, który pędził jak zając poprzez różne uliczki, zakamarki, ślizkie kamieniste przejścia, aż na drugi koniec bazaru, gdzie nas przyjęła trawiastozielona doróżka i dowiozła ładną, krzewami i kwieciami umajoną aleją do wcale porządnej gospody.

Skodra ma piękne wspomnienia historyczne. Niegdyś (w VII wieku, podobno) stanowiła część Serbskiego państwa, i utrzymała się nawet po bitwie na Kossowym polu. Książę Zety—Jerzy Balsza, któremu za stolicę służyła, oddał ją w ręce — nie Turków lecz Wenecjan, którzy zostawili w mieście ślady swej architektury. Turcy zdobyli ją dopiero w 1479 r. i to po sześciomiesięcznym oblężeniu. Dziś Turcy trzymają Skodrę, Albańczyk nazywa ją swoją i uwielbia ponad wszystkie grody świata, Czarnogórzec zaś nie może zapomnieć, że ona kiedyś należała do wielkiego państwa Serbskiego.

Nie jest to zdrowa miejscowość: skwarą i duszną w lecie, zalana wodą w zimie, leży w nizinie, ale przynajmniej nie posiada komarów. Kiedy się wejdzie do bazaru nad rzeką, wśród tych wązkich uliczek, brudnych bud drewnianych, ludzi dziwacznie ubranych, wydaje się, że wieki średnie jeszcze trwają.— Każda gałąź przemysłu ma tu osobną dzielnicę, jak dawniej bywało i w naszych miastach. Ludzie niewiele mają

wymagań, mniej jeszcze wygod, ale każdy chętnie nosi na sobie wszystko, co posiada, więc ubrania z drogich materji, sutym zdobne haftem, choć wytarte, wybrukane i często łatane zupełnie czym innym.

U wejścia do bazaru są kramy stolarzy, którzy wycinają i malują wielkie skrzynie na odzież, czerwono i złocisto na tle krzycząco-zielonym, albo równie jaskrawe kolebki, które wraz z niemowlęciem zawieszają koniowi u siodła, albo na plecach matki. Rusznikarze przygotowują naboje, których jest ogromne zapotrzebowanie, naprawiają strzelby i rewolwery, albo przyprawiają do nowej broni stare rękojeści-wysadzane turku, sami i kornalinem. Złotnik siedzi, nogi skrzyżowawszy, na ziemi; przy nim fajerka żarzących węgli, kilka zwitków srebrnego drutu i pudełeczko pełne kulek srebrnych. Z tego skromnego materjału zręczne jego palce wysnuwają i dzierzgają misternie rozmaite wzory fantastyczne, zdobne rubinami i szmaragdami ze szkła, a wabiące oko tym, czego żadna machina wytworzyć nie

doła. W takich misternych wyrobach Albańczyk celuje; za to większe nie bardzo mu się udają; np. domy koszlawe, pokrzywione dachy, okna.

Pocziwi są handlarze skodrańscy; nie oszukają cię, poczęstują kawą, a gdy dużo towaru nakupić, dodadzą sztuczkę grubego muślinu do zawinięcia, papieru tu bowiem na ten cel nie mają. Podobno przed laty ośmdziesięciu w Londynie było tak samo.

Wielki bazar czyli jarmark odbywa się w Skodrze co środa, i nic im tak nie zaimponowało, jak wiadomość, że w Londynie codziennie jest „wielki bazar”; niczym wobec tego tramwaje, światła elektryczne, pięciomiljonowa ludność itp.

W dzień bazarowy Skodra roi się od mnóstwa najdziwniej ubranych ludzi i zwierząt; np. baran prowadzący stado, bywa umalowany szkarłatem, a rogi ma wyciągnięte tak, że zamiast się skręcać w dół, sterczą mu w górę spiralnie, jak u antylopy. Spotykamy podobne na freskach staro-egipskich. Niektórzy górale muszą iść trzy lub cztery dni na jarmark z domu: postępują uzbrojeni,

przodem pędząc trzody; za niemi kobiety ciężko obciążone, które często mają na plecach, oprócz skór lub drzewa na sprzedaż, uwiązaną kolebkę drewnianą z dzieckiem. Snułam się sama między tym dzikim i zbrojnym tłumem, a nigdy mię przykrość nie spotkała i nie widziałam żadnych morderstw. Zdarza się jednak spotkać człowieka okaleczonego przez zemstę i krwawą jeszcze szmatą zakrywającego brak nosa.

Trudno byłoby opisać najrozmaitsze stroje, jakie się tu widzi, ale są i kobiety, o ciasnych, wązkich w czarne pasy spódniczkach, przypominające malowania na staro-greckich wazonach; są dżicy górale w skórach baranich włosom na zewnątrz; są mieszczki w biel i szkarłat ustrojone z mnóstwem złocistych monet, guziczków srebrnych i haftów; mahometanki odziane w worki z kwiecistej materji, ściśle zakwefione i w dodatku z głową okrytą złoto-błękitnym sukniem, tak, że ledwie mały otworek zostaje na oczy; są inne z białą zasłoną do kolan spadającą, wyglądające jak widma; dziewczynki o włosach na czerwono-

no barwionych i uczernionych brwiach; Turcy w turbanach itp. Wszystko to rusza się, popycha, nawołuje, w blasku skwarne go słońca mieni się barw tysiącem, brzęczy, dzwoni, a na ziemi leżą skóry bydlęce krwawiące jeszcze i rojami much okryte.

Najstarożytniejszym chyba ze wszystkich jest strój, który noszą dorośli i mali muzułmanie z ludu prostego: jest to luźna bluza czy tunika przewiązana pasem i szerokie, zmarszczone u kolan spodnie; takie same widzimy na starogreckich urnach, u Daków rzeźbionych na kolumnie Trajana i w Luwrze na jeńcach Galskich; jednym słowem, strój „barbarzyńców” w Rzymie zwanych „braccati” (w „spodniach”). Teraz w dodatku golą głowy i noszą biały fez, w czym znowu dostrzegamy pierwowzór wszystkich „Pierrotów” i arlekinów za pośrednictwem Wenecji do Europy wprowadzonych.

Spódniczka należąca u nas do stroju kobiecego, zamienia się u Albańczyków w „fustanelle” fałdzistą, do kolan sięgającą, jak u baletnicy. Niezręczne to

ubranie, pochłaniające czterdzieści metrów materiału, przeszkadza do pracy i tamuje ruchy, przytym śmiesznie wygląda. Nie dziwię się, że pasterze w polu pytali mego przewodnika, czy ja jestem kobietą czy mężczyzną.

Przebiegłam szybko dzielnicę rzeźników, czerwieniejącą od kawałów mięsa: widziałam, jak psy chłepcą z krwawej kałuży, a mistrz kunsztu rzeźniczego wyciera nóż o własne udo, wszystko zaprawione mdłą wonią krwi. Opodal, stare niewiasty porzły swój towar: jedna zachwala złociste hafty migocące w słońcu; druga z przędzy wełnianej długą nić wyciąga, obie podobne starożytnym Parkom splatającym losy ludzkie. W innym kącie gromada cyganów, nawpółnagich, wyrabia wszelkie możebne przedmioty z rozklepanych blaszanych baniek od nafty.

Ku wieczorowi wszyscy się rozchodzą; wieśniacy uprowadzają swoje bydła ustrojone w niebieskie paciorki i amulety, mające chronić od uroków po drodze. Nocą cała Skodra tonie w ciemnościach, których rozproszyć nie może



kilka lamp olejnych. Miasto ma 40,000 mieszkańców, a domy rozrzucone na wielkiej przestrzeni, bo każdy stoi wśród wielkiego podwórza lub ogrodu i stanowi niby twierdzę, na wypadek wojny, której się tu ciągle spodziewają.

Cyrkuł mahometański wygląda bogaciej, ale na ulicach smutno i pusto. Czasem przesunie się parę zasłoniętych niewiast. Zresztą w mieście nietylko tureczki ale i katoliczki noszą zasłony. Wszystkie do chwili zameżcia trzymane są prawie w niewoli, a i później los ich się nie polepsza. Kobiety albańskie na wsi ciężko bardzo pracują, a w mieście, uboższe od rana do nocy siedzą za tkackim warsztatem.

Mimo przeważającej liczby mahometan, meczety są nader skromnej budowy; jedyną ich ozdobą smukły minaret. Zastanowiło mię to, że tureccy żołnierze rozwieszają bieliznę do suszenia na cmentarzu, zdobiąc pomniki grobowe różnemi częściami ubrania. Gdyby nie ten widok, trudnoby się zresztą domyślić, że żołnierze kiedykolwiek piorą swoje rzeczy.

Chrześcijański cyrkuł miasta wygląda nędzniej; na drzwiach często namalowany krzyż, a mieszkańcy różnią się strojem od mahometańskich.—Ubranie niewieście jest dziwnie szpetne: olbrzymie namarszczone szarawary czerwone z czarnym, tworzą wór opadający około kolan tak suto, że go trzeba podtrzymywać rękami przy chodzeniu. Twarz zasłonięta i rodzaj płaszczyka szkarłatnego, haftowanego złotem, z kwadratową przyszywką, tworzącą kaptur;—wszystko razem nadaje kobiecie pozór dziwacznej, gruszkowatej bryły, poruszającej się z trudnością po ulicy.

Katedra rzymsko-katolicka, wielka ceglana budowla z wysoką „campanile” stoi także na gruncie murem opasany. Przy wejściu, kobiety zdejmują zasłony i wtedy można zobaczyć ich piękne twarze o nosach orlich, delikatnie wyciętych ustach koralowych, płci jak kość słoniowa, oczach ciemnych z długimi rzęsami. Są wprawdzie ławki w kościele, ale większość kongregacji siada na ziemi, rozpostarszy chusteczkę lub dywanik, tak jak w meczecie.

Ci nawet Albańczycy, którzy noszą miano chrześcijan, dalecy są od pojęcia ducha chrześcijaństwa: zachowują gorliwie posty, żegnają się po katolicku, krzyż noszą, jak talizman, ale zresztą nie wiedzą, o co rzecz chodzi.

— Czy u was w kraju jest Duch Święty?—pytali mię nieraz.

— Tak.

— No, to Anglja podobna do naszej Albanji.

Prawosławnych jest niewielu w Skodrze. Ubierają się tak, jak mahometanie, tylko kobiety nie noszą zasłony na twarzy.

Starożytności tu mało, z wyjątkiem okazałych ruin cytadeli weneckiego pochodzenia. Przed trzydziestu laty twierdza ta była w najlepszym stanie, ale rządzący pasza zasłyszawszy coś o pionochronach, kazał przytwierdzić przyrząd taki do wieży służącej za skład prochu. Przymocowano konduktor z pięknie świecącym do góry ostrzem, ale gdy przyszło do założenia drutu, ginącego w ziemi, oszczędny pasza zadecydował, że to już wcale nie potrzebne i dru-

tu nie kupił. W parę tygodni zagrzmiała burza i piorun trzasnął w wieżę, tak, że prochownia z większą częścią fortyfikacji wyleciała w powietrze. U stóp wzgórza znajdują się zwaliska małego kościołka, uważanego przez lud okoliczny za wielką świętość.

Skodra jest stolicą, ale brak jej dróg komunikacyjnych. Nie postarano się nawet o uregulowanie spławności rzeki Bojano, łączącej jezioro Skodrzańskie z morzem i stolica nie posiada portu. Wprawdzie wywóz stamtąd nieznacznym: skóry, tytuń, korzenie garbarskie, owoce, kukurydza i żółwie nie wymagające żadnego nakładu pracy.

Mam pewną słabość do Skodry, musiałam jednak opuścić to miasto, postanowiwszy dostać się do Dulcigno nad Adrjatykiem. Drogę postanowiłam odbyć konno z przewodnikiem i wyruszyłam wczesnym rankiem, pieszo na razie, bo mój Dutsi utrzymywał, że niewarto na koń wsiadać przed wizowaniem paszportu.

Kiedyśmy się zatrzymali w miejscu gdzie Bojana łączy się z Driną, wyję-

łam moje dokumenty, ale znów się okazało, że nikt ich przeczytać nie zdoła, ponieważ nie były po turecku pisane. Po długim wahaniu i naradach zapisałam mnie jako „Marja z Anglii” (wjechałam była jako „Edyta z Londynu”) i puszczono dalej.

Droga nie była właściwie drogą, ale bezdrożem lub łożyskiem wyschłego potoku; w dodatku deszcz lał strumieniami. Przebywszy jakiś potok po kładce, dowiedziałam się, że to granica i że właśnie wstępuję na wolną, chrześcijańską, Czarnogórską ziemię. Niestety nie wiele to wpłynęło na polepszenie losu naszego, bo deszcz prawie nie ustawał; spotkaliśmy obóz cygański, co mego przewodnika mocno zaniepokoiło, kryliśmy się od nawałnicy pod wielkim drzewem, posilaliśmy się skromnie zapasami, które miałam z sobą, wreszcie ku wieczorowi, przemoczeni do nitki, ujrzelśmy przed sobą upragnione Dulcigno.

Prosiłam o wskazanie najlepszej gospody.

— Jedna tylko jest — odrzekł prze-

wodnik i niebawem wdrapawszy się na wzgórek zobaczyłam szereg domów, kuźnię, meczet i kilka sklepów. Stanęliśmy przed małą szynkownią i to, jak mi objaśnił Dutsi, była jedyna w mieście gospoda. Nie było wyboru: gospodarz wprowadził mię radośnie witając do „molto bella camera”, której jedynne umeblowane stanowiła wielka paka, a na niej kupa materaców. Na materacach tych spoczywała właśnie pani domu, obudzona przez małżonka, zerwała się i zarzuciwszy mi ręce na szyję, ucałowała po trzykroć.

Przez cały czas mego pobytu, to jest do południa dnia następnego doświadczałam największej uprzejmości zarówno od moich gospodarzy, jak i od gości, którzy mimo deszczu schodzili się, by mię oglądać i zapraszali do siebie na poczęstunek. Wielki podziw obudziła gąbka, której użyłam do mycia, a jeszcze większy szczoteczka do zębów; chciano jej nawet próbować, ale szczęściem zagotowała się właśnie kawa i odwróciła uwagę od mojej toalety.

Siedziałam z niemi na ziemi wokoło

ogniska, piliśmy kawę i zajadali barani-  
nę, a wkońcu gospodarz podał mi na  
dłoni, jako szczególny przysmak, oczy  
i język nieszczęsnego barana.

Widać było jednak, że gospodyni mia-  
ła mi coś do powiedzenia, naradzała się  
po albańsku z gośćmi, wreszcie wypra-  
wiła do mnie męża swego, który łama-  
ną włoszczyznę dał do zrozumienia, co  
następuje. Bóg im nie dał syna; córkę  
jedyną wydali za mąż przeszłego roku  
i sami zostali; otóż proponują, abym zo-  
stała... ich córką, bo im się bardzo po-  
dobam i wszyscy będziemy „molto con-  
tenti”.

Odpowiedziałam poważnie, że w kra-  
ju zostawiłam matkę i muszę do niej  
wracać, na co się zgodzili z żalem. Po-  
tym powiedzieli mi swoje lata i zapytali  
o mój wiek, co wywołało zobopólne zdzi-  
wienie: oni bowiem mieli mię za młod-  
szą, ja ich za starszych, a tu się okaza-  
ło, że gospodarz ma lat czterdzieści, go-  
spodyni zaś czterdzieści dwa. Nie po-  
psuło to dobrych między nami stosun-  
ków, i nazajutrz, zamówiwszy konia do  
Antivari na południe (cokolwiek trudno

to przyszło, bo u Turków dwunasta godzina jest o zachodzie słońca) puściłam się tymczasem na oglądanie miasta.

Zatoka bardzo się pięknie przedstawia: na wzgórzu wznosi się stary gród i weneckie mury opasujące przylądek; dalej miasto w dolinie okrąża zatokę, a tu i owdzie wystrzela w górę minaret. Mahometanki tutejsze noszą szkaradne płaszcze z kapturami, ciemnej barwy, grube, wełniane z czerwonym rąbkiem.

Tu i owdzie widziałam wmurowane piękne kawały rzeźby z czasów weneckich. W roku 1571 Dulcigno dostało się Turkom. Zdobyte w 1877 przez Czarnogórców, odebrane im przez kongres berliński, wróciło do nich ostatecznie w 1880 roku. Szkoda, że piękna zatoka tutejsza, dla braku połączenia z wnętrzem kraju, nie przedstawia korzyści handlowych.

W sześć godzin, po bardzo złej drodze, wśród najpiękniejszych krajobrazów, dostałam się stąd konno do Antivari i niebawem powitałam moją pocziwą gosposię, Marję Bulatowicz w Prstanie.

Wycieczki moje po ziemiach półwy-



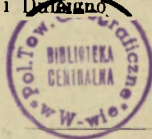
spu Bałkańskiego trwały całe miesiące, wracałam tam kilkakrotnie w ostatnich latach i wyrobiłam sobie zdanie o ludach słowiańskich, kraje te zamieszkujących. Wogóle obce państwa za surowo je sądzą, zarzucając wzajemne ich nienawiści i spory. Nie uważałam, aby pod tym względem było gorzej, niż u „cywilizowanych” państw Europy.

Zresztą dopóki trwają demoralizujące rządy tureckie na Bałkanie, nie może być lepiej. Jeśli zaś Słowianie bałkańscy nie posiadają przymiotów, wynikających z cywilizacji, natomiast nie mają i wielu wad z nią połączonych. Żyjąc z niemi, doświadczałam ich uczciwości i serdeczności nawet, przekonałam się, że grunt w nich szlachetny i szczerze ich pokochałam.



## S P I S R Z E C Z Y .

	str.
I. Kattaro. Njeguszi. Cetynje . . .	3
II. Rijeka. Podgoryca. Cygańskie we- sele . . . . .	19
III. Ostrog. Gościnność Archimandryty	48
IV. Nikszitje i Dukla . . . . .	72
V. U Najświętszej Panienki śród skał	79
VI. Antivari . . . . .	89
VII. Albanja północna . . . . .	105
VIII. Skodra i Dabigno . . . . .	118



<http://rcin.org.pl>

## CHMIELEWSKI K

Szkice malownicze

- **Obrazy ziem polskich**, z licznymi ryc. 1 20
- GLOGER Z.** Białowieża i opis podróży do niej, z 4 rycinami — 25
- KAFKA J.** W krainach wiecznego lodu, tłumaczyła *J. Kietlińska-Rudzka*. Z 23 ryc. — 20
- KORZEŃSKI J.** Obce ludy, obce kraje. Ciekawe opisy podróżników, opracowała *Antoszka*, z 68 rysunkami, w oprawie 1 —
- ŁAGANOWSKI ST.** Ziemia w opisach i obrazach. Wypisy geograficzne. Cz. I. Geografia ogólna, z licznymi rycinami 1 30
- MIECZ S.** Azja Środkowa, z 7-go wydania przełożył *Adam Kudelski* — 20
- **Sahara i Nil**, z 6-go wydania przetłumaczył *A. Kudelski*, z 6 rycinami i 2 mapami — 30
- **Anglja**. przetłum. *Cz. Stankiewicz*, z licznymi rycinami — 35
- NAŁKOWSKI W.** Geografia malownicza. Opisy z wrażeń podróżników. Część I-sza. Australja (z Polinezją), z 45 rycinami — 75
- NANSEN F.** Eskimowie, ich życie i obyczaje. Przełożył i streścił *A. Strzelecki*. Z licznymi rysunkami — 30
- PETERS K.** Dr. Przez Krainę Masajów. Przełożył *A. Krasnowolski*, z rycinami — 25